



Gazeta Kulturalna

ISSN 1734-3240

Miesięcznik Rok XIX Nr 12(220) Żelów, grudzień 2014

Poezja Proza Krytyka Historia Sztuka Muzyka

W numerze:

Wiersze: Andrzeja Bartyńskiego, Anny Kiesewetter, Małgorzaty Góralskiej, Piotra Skaradzińskiego, Józefa „Faktora” Stopki, Adriana Tujka, Andrzeja Wołosewicza
Andrzej Dębkowski – *Obiektywna narracja*

Leszek Żuliński – *Poezja istotności*

Józef Baran – *Przystanek marzenie*

prof. Maria Szyszkowska – *Filozofia codzienności oraz Poezja kobieca*

prof. Ignacy S. Fiut – *Trzy odłamy poety*

Kazimierz Ivosse – *Ku pokrzepieniu serc*

Andrzej Walter – *Ty jeszcze wcale nie umarłeś...*

Stefan Jurkowski – *Obrotowe tango i inne hołubce*

Leszek A. Nowak – *A on i tak tutaj jest*

Kazimierz Świegocki – *W osiemdziesięciolecie urodzin Rafała Orlewskiego – wspomnienia i refleksje*

Stanisław Nyczaj – *„Moje wołanie niech do ciebie przyjdzie”*

Arkadiusz Frania – *Czy prawda i czytelnik poszukują gwałtociela?*

Elżbiata Śnieżkowska-Bielak – *Wyprawa w świat legend*

Jan Owczarek – *„Wiele jeszcze miejsc niespełnionych”*

Zbigniew Majewski – *Wszystkie pory roku*

Stanisław Grabowski – *Bitwa na wiersze oraz „Przegrałem, kiedy padał śnieg?”*

Jerzy Marciniak – *Ławka biskupa*

Wydarzenia, Informacje, Imprezy

Kronika, Zapowiedzi

Opinie, Noty, Poglądy

Konkursy, Witryna



Wesołych Świąt

Kronika

25 listopada 2014 zmarł w wieku 81 lat **Zbigniew Irzyk**, krytyk literacki, przyjaciel poetów i prozaików. Autor m.in. wspomnieniowej książki „Bywało zabawnie”.

Konkursy

Bitwa na wiersze

Zakończyła się 43. Warszawska Jesień Poezji. Co roku organizatorzy drżą o jej byt, który zależy m.in. od urzędników Ratusza, ale na koniec zawsze jakoś znajdują się pieniądze, dzięki którym ta jedna z najstarszych imprez kulturalnych w stolicy ma okazję ujrzeć światło dzienne. Jej formuła co roku nieco się zmienia, ale podstawowe cele pozostają niezmiennie. Spotkanie poetów z poetami, kontakt z czytelnikami, wspólne imprezy, a na koniec promocja antologii, czyli przeglądu lirycznych możliwości jej autorów. W tym roku twórcy z kraju i zagranicy dwa dni spędzili w pałacu w Oborach, czyli Domu Pacy Twórczej, gdzie aura od dziesiątków lat wyjątkowo sprzyja ożywionym spotkaniom i dyskusjom. Pewnie urodzą się z nich nowe utwory literackie, nawiązane zostaną nowe przyjaźnie, padną nowe propozycje dotyczące kształtu festiwalu, kto wie.

W każdym razie w tym roku, w ramach WJP 2014, po raz pierwszy odbył się Turniej Jednego Wiersza im. Jarosława Zielińskiego. Zmarły w 2012 roku poeta, ale także prozaik i informatyk, wykładowca uniwersytecki i redaktor nie był postacią zbyt znaną w środowisku literackim. Jego bliscy i przyjaciele orzekli, że należy to zmienić. Poezja Jarosława Zielińskiego zgromadzona w tomie *Słowa i linie* i nagrodzona nagrodą literacką im. ks. Jana Twardowskiego z pewnością zasługuje na rozgłos, na promocję. Pisał jeden z krytyków: „Zadziwiające jak szybko stał się w poezji zdolny do artystycznych uogólnień, do uniwersalizacji, jak dorósł do roli jakiegoś niespotykanego w jego pokoleniu *self-made mana*”. Pochwał zresztą nie brakuje pod jego adresem. I to całkowicie uzasadnionych. Zieliński, rzecz można, jak młody Rilke, a te słowa nie są przesadą, zaskoczył nas kilkanaście ważnych pytań o sens życia, naszej pracy, kim jesteśmy, dokąd zmierzamy..., których nie można lekceważyć. I stąd się wziął dwa lata temu pomysł założenia Fundacji ARKONA im. Jarosława Zielińskiego, która propaguje jego twórczość, przede wszystkim poezję, m.in. poprzez organizację konkursu dla młodych poetów pod nazwą Złota Róża i wyszukiwanie stypendystów na serio zainteresowanych literaturą.

I stąd zrodził się także pomysł, by co roku organizować Turniej Jednego Wiersza jego imienia. Taki konkurs to okazja, by jego uczestnicy mogli się nieco wypromować, przedstawić szerszej publiczności, dowartościować, może także zastanowić się czy warto na poważnie zajmować się czymś tak pozornie błahym jak poezja. Pisał Gombrowicz m.in. tak: w *poezji czystej, wierszowanej nadmiar męczy, nadmiar poezji, nadmiar poetycznych słów, nadmiar metafor, nadmiar sublimacji* etc. Można się z tym zgadzać lub nie zgadzać, jednak współcześnie liryka nie ma dobrych notowań. Co prawda istnieją nagrody poetyckie tak ważne jak imienia

Szyborskiej, entuzjaści mogą brać udział w setkach konkursów poetyckich, ale współcześnie poezja pozostaje na marginesie zainteresowania tzw. masowej publiczności. Ta, a zwłaszcza młodzież, zwróciła się zdecydowanie w stronę innych idoli i innych wartości. A przecież, podpowiadamy to ambitnym, pisarstwo to ciężka praca, to długie godziny przy biurku, codzienne lektury, nieustanne zmaganie się ze słowem, i próby, próby literackie, które nie zawsze kończą się sukcesem. Potrzebny jest też talent i... odrobina szczęścia. Czyż ambitni młodzi ludzie nie powinni próbować się i w takiej roli?

Bitwa na wiersze miała miejsce w stołecznym Domu Literatury 25 października br.

W pierwszym Turnieju Jednego Wiersza im. J. Zielińskiego główną nagrodę zdobył Jakub Przybyłowski za utwór pt. *Życie maszyn*. Drugie miejsce otrzymał Krzysztof Bąk za wiersz *Inne rozmowy*, a trzy trzecie miejsca przypadły w udziale Przemysławowi Janiszce (wiersz *Inkubator koniec*), Mateuszowi Andale (wiersz *Przeciąg*) i Mikołajowi Wachowiczowi (wiersz *Czterdzieści i trzy*).

Poetów wysłuchało uważnie Jury w osobach: Marka Wawrzekwicz, prezesa Zarządu Głównego Związku Literatów Polskich, dr Lama Quang My i Agnieszki Tomczyszyn-Harasymowicz. A następnie raz jeszcze, w odosobnieniu, pochyliło się nad tekstami biorących udział w konkursie. Nie znamy jego kulaarów jednakże w protokole napisano, iż „Jury wyraziło nadzieję, że Turniej Jednego Wiersza im. Jarosława Zielińskiego wejdzie na stałe do programu WJP”. I oby tak się stało, bo rywalizacja na polu literatury to dobra rywalizacja, co pochwalamy i zapraszamy do spotkania za rok.

Stanisław Grabowski

XXXVI Ogólnopolski Konkurs Poetycki im. Haliny Poświatowskiej

Celem konkursu jest pobudzanie aktywności twórczej w dziedzinie poezji, a także konfrontacje twórczości poetyckiej, promocja utalentowanych poetów, integracja środowisk literackich oraz rozbudzanie zainteresowania poezją.

Konkurs odbywa się w dwóch kategoriach: „po debiucie” – dla autorów po debiucie książkowym lub prasowym (w czasopiśmie lub prasie ogólnopolskiej); „debiut” – dla autorów, których wiersze nie były dotąd publikowane.

W konkursie mogą wziąć udział poeci z kraju i zza granicy piszący w języku polskim, nie zrzeszeni lub będący członkami związków twórczych oraz debiutanci, którzy ukończyli 16 lat.

Uczestnicy nadsyłają zestaw wierszy o dowolnej tematyce, niepublikowanych w wydawnictwach zwartych i czasopiśmie ogólnopolskich (opatrzonej numerem ISBN, ISSN) ani na stronach internetowych i nienagradzanych w innych konkursach.

Nadesłany zestaw wierszy, oznaczony słownym godłem może zawierać do pięciu utworów.

Prace konkursowe wyłącznie w formie wydruku komputerowego formatu A-4 należy przesłać w czterech egzemplarzach (każdy wiersz) pod adresem sekretariatu konkursu w terminie do 15 grudnia 2014 roku.

Autorzy dopisują na kopercie: „konkurs poetycki” oraz kategoria – „debiut” lub „po debi-

ucie”. Prace bez oznaczenia kategorii nie będą rozpatrywane.

W nadesłanej korespondencji (w osobnej kopercie, opatrzonej takim samym godłem jak prace konkursowe) należy podać: imię, nazwisko, adres zamieszkania, telefon, adres elektroniczny.

Organizatorzy nie zwracają nadesłanych tekstów.

Prace konkursowe w dwóch kategoriach: „debiut” i „po debiucie” ocenia Jury powołane przez organizatorów.

Laureaci konkursu otrzymają nagrody pieniężne i wyróżnienia ufundowane przez patronów, organizatorów i sponsorów.

Laureaci zobowiązani są do osobistego odbioru nagród i wyróżnień podczas uroczystości finałowej. Nie przewiduje się zwrotu kosztów podróży.

XV Ogólnopolski Konkurs na tomik wierszy TYSKA ZIMA POETYCKA »po debiucie«

Organizatorem konkursu jest Teatr Mały w Tychach, a w konkursie mogą brać udział wszyscy autorzy (zrzeszeni i niezrzeszeni w związkach twórczych), którzy wydali wcześniej samodzielną książkę poetycką.

Warunkiem udziału w konkursie jest nadesłanie do 30 grudnia 2014 roku (decyduje data stempla pocztowego) na adres: Teatr Mały. „Tyska Zima Poetycka”, ul. ks. kard. Augusta Hłonda 1, 43-100 Tychy, maszynopisu tomiku wierszy: maksymalnie do 50 stron, bez projektu okładki i stron redakcyjnych, skomponowanego jako artystyczna całość i opatrzonego tytułem.

Opatrzony godłem maszynopisu w postaci wydruków w formacie A4 należy nadesłać obowiązkowo w czterech egzemplarzach (nie dołączać wydanych tomików, dyskieci ani innych nośników).

W osobnej kopercie – opatrzonej tym samym godłem – należy zamieścić dane: imię i nazwisko, adres, telefon kontaktowy, e-mail, krótką notę biograficzną oraz tytuły wydanych dotąd samodzielnych książek poetyckich z rokiem wydania i nazwą wydawcy.

Warunki regulaminu będą ściśle przestrzegane. Tematyka prac jest dowolna.

Jury powołane przez organizatora przyzna tylko jedną nagrodę, stanowić ją będzie profesjonalne wydanie zgłoszonego do konkursu tomiku wierszy w serii „Biblioteka Tyskiej Zimy Poetyckiej” oraz 3.000 złotych brutto.

Tomik zostanie wydany w nakładzie 500 egz. w formacie A-5, z czego autor otrzyma 200 egz., a pozostałe rozdysponuje Teatr Mały (rozesłanie egzemplarzy obowiązkowych do bibliotek, wydawnictw branżowych, umieszczenie tomików w księgarniach internetowych i in.)

Rozstrzygnięcie konkursu nastąpi do 20 lutego 2015 roku. Wszyscy uczestnicy zostaną powiadomieni listownie o jego wyniku oraz zostaną zaproszeni na biesiadę poetycką 27.02.2015 roku w Teatrze Małym podsumowującą konkurs, połączoną z turniejem jednego wiersza (dla wszystkich zainteresowanych) i promocją wydanego drukiem tomiku.

Uczestnicy konkursu przyjeżdżają na własny koszt.

[ad]

Leszek Antoni Nowak

A on i tak tutaj jest



Mieczysław Buczyński.

Fot. „Rocznik Jeleniogórski”, t. 37, 2005, s. 240.

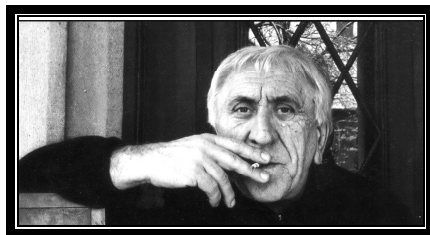
Mieczysław Buczyński – łagodny olbrzym o gołębim sercu, prawdziwy Kresowiak, był człowiekiem niesłychanej wprost skromności. W zakresie dawnego szkła miał wiedzę niepospolitą i szczerze się nią dzielił. W 1981 roku zatrudniłem go w charakterze rzeczoznawcy w założonym przeze mnie salonie „Desy” w Jeleniej Górze. Współpracowało się nam doskonale. Równie znakomicie gawędziło się i spędzało wolny czas przy kieliszeczku czegoś mocniejszego w jeleniogórskich knajpkach. Beneficjentem w tym wypadku byłem ja, bowiem dobrotliwy kolega zdradzał mi tajemnice starego szkła i wprowadzał w teoretyczne arkana produkcji przedmiotów artystycznych z tego kapryśnego medium.

Mieczysław urodził się 17 października 1941 roku w rodzinie chłopskiej w Dobrowodach w powiecie podhajeckim w województwie tarnopolskim.¹ Ojciec Mieczysława jako żołnierz II Armii Wojska Polskiego zginął w ostatnich miesiącach wojny i nigdy nie zobaczył swego syna.² Po wojnie wraz z matką osiedlili się w Płakowicach koło Lwówka Śląskiego.³ W roku 1964 ukończył studia historii sztuki na Uniwersytecie Wrocławskim. Od roku 1967 do śmierci pracował w Muzeum Karkonoskim⁴ w Jeleniej Górze, kolejno jako asystent, adiunkt, bibliotekarz, kustosz i starszy kustosz. Jego niekwestionowanym dziełem jest tamtejsza kolekcja szkła artystycznego, która nie ma sobie równych w Polsce. Mieczysław zmarł 10 września 2005 roku. Na ścianie frontowej Muzeum Karkonoskiego, przy ulicy Matejki 28, znajduje się ufundowana w 2006 roku tablica, na której czytamy: „W tym budynku w latach 1968-2005 pracował Mieczysław Buczyński 1941-

2005 twórca jeleniogórskiej kolekcji szkła artystycznego.” Dodam, że w 1996 roku Henryk Szoka i Zbigniew Dygdałowicz zrealizowali o Mieczysławie film: „Zaklinanie szkła”.

Prof. Paweł Banaś – nasz wspólny przyjaciel, tak pisał o Mieczysławie: *Nie miał Mietek predyspozycji akademickiego uczonego, był raczej przedstawicielem orientacji określonej nigdyś mianem znawstwa. Był niezastąpionym „skarbnikiem” szklanych arcydzieł.*⁵

A tak wspomina Buczyńskiego Elżbieta Gajewska-Prorok, kustosz Działu Szkła w Muzeum Narodowym we Wrocławiu: *W Muzeum Karkonoskim młodzi pracownicy Działu Szkła nie zdążyli poznać Pana Mieczysława Buczyńskiego, zaczęli pracować po Jego śmierci. Jest dla nich legendą i kojarzy się tylko z tablicą pamiątkową na ścianie Muzeum. Ja znalazłam Pana Mieczysława wiele lat. Wspominał jak pokazywał mi szklane cudenka w magazynie i opowiadał o eksponatach na wystawie. Z podziwem patrzyłam, jak delikatnie ujmował swymi masywnymi dłońmi kruche szklane naczynia. Nigdy nie spotkałam osoby, która by tak troskliwie i ostrożnie, a jednocześnie pewnie brała do ręki stare szkło. Może jeszcze prof. Dietmar Zoedler, kolekcjoner szkła, chirurg, autor pracy o szkłe śląskim: „Schlesisches Glas, schlesische Gläser”, który kiedyś był na kwerendzie w Dziale Szkła w Muzeum Narodowym. [...]*



Mieczysław Buczyński.

Fotografia ze zbiorów

Towarzystwa Przyjaciół Jeleniej Góry.

Utrwalił mi się obraz Mieczysława oparte go o filar ganku Muzeum, z nieodłącznym papieroskiem. Dużo palił. Czekał na swego gościa wypatrując go w głębi ulicy. Zapraszał częstował herbatą i ciasteczkami i opowiadał. Ostatnią jego pasją były szkła z firmy Heckerta. Zbierał szkła, materiały, dokumenty, relacje starych hutników, opowieści kolekcjonerów. Wielokrotnie pokazywał mi ręcznie rysowane i kolorowane wzorniki Heckerta i omawiał szczegóły dekoracji. Lubił się dzielić swymi spostrzeżeniami i starał się zawsze odpowiedzieć dokładnie i wyczerpująco na moje pyta-

nia. Mawiał: *„dzień bez szkiełka jest dniem straconym”, czyli każdego dnia trzeba wziąć do ręki chociaż jedno stare szkło lub dzieło szklane współczesne i zastanowić się nad nim. Czasem opowiadał o górach, o weekendach na nartach w Karkonoszach. O sobie mówił rzadko. Nie wiedziałam, że pisał wiersze, dowiedziałam się o tym kilka lat po Jego śmierci. Tomik jego poezji jest już niedostępny w Muzeum Karkonoskim. Osoba Pana Mieczysława żyje też w pamięci niektórych, starszych już wiekiem kolekcjonerów szkła z Jeleniej Góry i okolic, wspominają, jakie okazy wyszukiwali i sprzedali do Muzeum jeleniogórskiego, często po długich dyskusjach z Panem Buczyńskim, kiedy to zachwalano urodę danego zabytku i opowiadano jego historię.”*⁶

Przed laty za punkt honoru postawiłem sobie wyswatanie Mieczysława, który z uporem trwał w stanie starokawalerskim. Cóż za piękne dziewczyny zwoziłem mu do Jeleniej Góry, niestety do końca pozostał zatwardziałym kawalerem. Moje usiłowania zbywał dobrodusznym uśmiechem i mówił: *Taż wiesz Leszek, że ja do życia w celibacie stworzony. No to co? Jeszcze po malutkim?*



Jelenia Góra. Muzeum Karkonoskie.

Mieczysław Buczyński – szklany książę Salina.

Fot. Jan Ginowicz.

Tak z kolei wspominał Mieczysława jeden z kolekcjonerów dzieł sztuki: *Człowiek ten promieniujący niezwykłym urokiem osobistym, był z wyboru Ślązakiem [...] Zrobił potem dla niej [Ziemi Śląskiej] wiele, ratując od zniszczenia, zapomnienia i wywozu przede wszystkim rodzime, czyli śląskie szkło artystyczne. Pomimo potężnej postury przy 190 centymetrowym wzroście, Buczyński był niezwykle wrażliwym i delikatnym w obejściu człowiekiem. Kochał góry, przyrodę i uprawiał ze szczególnym upodobaniem sporty zimowe. Był członkiem i działaczem kilkunastu towa-*

(Dokończenie na stronie 4)

A on i tak tutaj jest

(Dokończenie ze strony 3)

rzystw, a pośród nich: Karkonoskiego Towarzystwa Naukowego, Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich, Towarzystwa Przyjaciół Jeleniej Góry oraz Jeleniogórskiego Koła Towarzystwa Pomocy im. Św. Brata Alberta”⁷.



Tablica upamiętniająca Mieczysława Buczyńskiego umieszczona na ścianie przy wejściu do Muzeum Karkonoskiego w Jeleniej Górze.

Był doskonałym sportowcem, w młodości miał krótki epizod bokserki, świetnie pływał i jeździł na nartach, a Karkonosze schodził wzdłuż i wszerz. Nie miały przed nim tajemnic. Ostatni raz widzieliśmy się w styczniu 2004 roku na pogrzebie pani Marii Stażewskiej⁸, którą obydwa darzyliśmy wielkim szacunkiem i podziwem.

Widzę go do dzisiaj jak w swojej wielkiej jak bochen chleba dłoni delikatnie piastuje mały, kruchy kieliszek grawerowany przez Moritza Wentzla. Był typowym Kresowianinem, skromnym aż do przesady, niezwykle uczynnym i prawym człowiekiem, zawsze myślał o innych, dopiero na końcu o sobie. [...] był nie tylko znawcą szkła, wrażliwym obserwatorem przyrody, proslinijnym, skromnym, serdecznym, życzliwym i pomocnym dla wielu, był także człowiekiem obdarzonym poczuciem humoru.⁹ A to przecież tak wiele.

Po śmierci Mieczysława, przyjaciele porządkujący jego mieszkanie znaleźli rękopisy pisanych przez niego wierszy. Nikt nie wiedział, że pisze, że w ten sposób wyraża swoje rozterki i radości, swoje widzenie tego najpiękniejszego ze światów. Dobrze znając Mieczysława nie powinienem być zaskoczony, że w swej bardzo osobistej ekspresji posługiwał się słowem pisany. Że swoje głębokie przemyślenia przelewał na papier w formie wierszy. Pisał je właściwie tylko dla siebie, nigdy nie zdradził się z tą formą swojej twórczości i nie starał się jej upubliczniać. Więc nie zaskoczył mnie sam fakt pisania przez niego wierszy, ale to że są one tak bardzo dojrzałe i konsekwentne w swej formie. To twórczość zasługująca na uznanie, skromna, ale jakże klarowna. Wszak wiemy, że małe bywa piękne, a w tym przypadku z pewnością

jest.

W swoim ostatnim wierszu, napisanym w sierpniu 2005 roku, przeczuwał swoje odejście, nie miało już złudzeń: *w późnojesienną sobotę / opadają liście z dębiny / w parku norweskim w Cieplicach / gasną zetlałe promyki / marzeń, nadziei – / odchodzą w niepamięć / użyźniając ziemię.*

W wielkim ciełe Mieczysława była równie wielka dusza, tak widocznie z natury rzeczy musi być. Był niezłomnym patriotą, a słowa Ojczyzna, Polska, były dla niego wszystkim. Dla takich, coraz ich z czasem mniej, los Polski nigdy nie był obojętny. W maju 1980 roku napisał wiersz „Historia I”: *błyskawice grzmoty / potem kojąca cisza majowej nocy / zastygła / na drzewach ledwie rodzących zieleń / ból za tymi co przeszli / i tymi co przejdą / wszędzie słowa Wiara Ojczyzna Miłość / popieleją i zakwitają / na wiecznie dymiącym stosie auto da fé.*

Następnie, dziesięć lat wykreślonych z wielu życiorysów i znowu w maju ale już 1990 r. napisał wiersz „Pasja”: *...przez wieki każdej wiosny... / zdradzony / fałszywie osądzony / ubiczowany / krwawiąc dźwigasz krzyż na Golgotę / aby umierać między / niebem a ziemią / ...jesteś Bogiem i człowiekiem... / zielono-biało / rozkwitającą nadzieją / każdej wiosny. Czy ta odrodzona Polska spełniła nadzieję Mieczysława, o ile pamiętam to nie.*

W czasie ciemnej nocy stanu wojennego mimo propozycji wyjazdu za granicę, nigdy ani przez moment nie pomyślał o opuszczeniu ojczyzny. Swoją postawę zawarł w wierszu „Pożegnanie z P.”: *Chcesz żebym wyjeżdżał i to szybko / siłą wciskasz mi w rękę jakieś papiery / krawat i trochę forsy na drogę / radzisz mi żebym żywy nie wracał / że to sentymentalne / wierzy, brzozy, słońce / tam maj i szczęście / a ja i tak tutaj będę.*

I nadal z nami jest.

Leszek Antoni Nowak

¹ Rodzicami Mieczysława byli pochodzący z Dobrowodów rolnicy: Józefa z domu Fuławka (13. IX 1916 – 8. IX. 1985) i Franciszek (12. IV 1916-1944). Akt urodzenia sporządzono w dniu 3. XI 1941 roku w Kowalówce w powiecie buczackim. Patrz: Jolanta Staszak, *Buczyński Mieczysław – nota biograficzna* /w:/ Słownik Biograficzny Ziemi Jeleniogórskiej /wydanie internetowe/.

² Ojciec Mieczysława w czerwcu 1941 roku został wcielony do Armii Czerwonej, a w 1944 roku przeniesiony do II Armii Wojska Polskiego, zginął podczas forsowania Nysy Łużyckiej i nigdy nie zobaczył syna. Pochowany został najprawdopodobniej na cmentarzu wojskowym w Zgorzelcu.

³ Matka Mieczysława w 1945 roku z niespełna czteroletnim synem i rodziną Fuławków zmuszona była opuścić rodzinne strony i przenieść się na Dolny Śląsk.

⁴ Poprzednie nazwy: Riesengebirg-Vereins-Museum funkcjonujące do 1945 roku, od 1947 roku Muzeum Miejskie, od 1964 roku Muzeum

Regionalne, a od 1975 roku Muzeum Okręgowe.

⁵ Paweł Banaś, *A ja i tak tutaj będę: Wspomnienie o Mieczysławie Buczyńskim.* /w:/ Skarbiec Ducha Gór, Jelenia Góra 2005, nr 4, s. 7-8.

⁶ Refleksje pani Elżbiety po wizycie i otwarciu wystawy w 2013 roku w Muzeum Karkonoskim w Jeleniej Górze w liście do autora.

⁷ Ambroży Grzenia *Wspomnienie o człowieku w szkłe zakochanym*, 2007. /Wydruk komputerowy w posiadaniu autora/.

⁸ Maria Starzewska z domu Łubieńska (1907-2004), historyk sztuki, w latach 1963-1969 dyrektor Muzeum Śląskiego we Wrocławiu.

⁹ Paweł Banaś, *ibidem*.



Piotr Skaradziński

Patelnia

Patelnię trzeba pieścić chlebem, by zessać
wszystko, co tam jest
było i może nigdy nie będzie wyobrażone,
jak niepojęte ryby
Chrystusa Pana Naszego Amen, parówki z
psa, a nawet łyskające
z luster tłuszczu brzaski. Rozkrwawiam w
nich tkanki aż po mózg różowy
mdły, lepki, a potem rzucam o ścianę.

W pył marzenia-samookaleczenia
pozalepiane skrupulatnie plastrem
w kolorze cielistym, schowane pod
bladą-łękiem, rozchwytanym
obliczem doczesnego trwania samych
przypadkowych strzałów ejakulatu,
wyrzeźbionych w mięsie i ścięgnach jako
symbole upadku idei narodzin,
które rozpychają ulice konających miast.

Małgorzata Góralska

rewolucja dojrzałych dzieci

chcę ,abyś przeczytał zanim zmienię tytuł,
powykreślałam słowa.
może zobaczysz wtedy to oderwanie od
czasu
i uwierzysz, że nie jestem szalona,
przecież nie wszystko w świetle wygląda tak
wyraźnie.
oddział zamknięty nie wyleczy, zostawi
blizny,
nie chcę, byś je całował zgodnie z receptą.
kaleczysz , a przecież w pierwszej i ostatniej
wersji,
miałam pozostać sobą

MNIJ WIĘCEJ (I 17)



Foto: Zofia Mikula

Poezja istotności

Andrzej Wołosewicz jest członkiem ZLP, poetą, krytykiem, autorem pięciu książek, z wykształcenia filozofem i – co ciekawe – robiącym teraz na warszawskiej polonistyce doktorat nt. twórczości Krzysztofa Gąsiorowskiego. Para się pracą akademicką i redakcyjną. Już tylko takie ogólne dane są chyba niezłą rekomendacją literacką. Ale ostatecznie, jak wiemy, i tak liczą się tylko konkretne książki.

LESZEK ŻULIŃSKI

No więc jest okazja... Mniej więcej dwa miesiące temu ukazał się czwarty zbiór wierszy Wołosewicza pt. *Każdy Twój krok prowadzi nad Styks*. Tomik otwiera odautorski wstęp, co rzadko się zdarza. W tym wstępie Andrzej kładzie nacisk na ważność przekazu. Poezja – jego zdaniem – powinna mówić o sprawach istotnych. Oryginalność języka oczywiście się liczy, ale trzeba mieć coś do powiedzenia. Jestem podobnego zdania. Wiersz jako wartość estetyczna to bez wątpienia sprawa niebłaha, ale to tylko połowa sukcesu; wiersz dociekający Istoty (o czym by ona nie była) to kwestia fundamentalna. Waleru artystycznego lekceważyć nie można, ale do samej „bizuterii” wiersz sprowadzać się nie powinien.

Już na początku książki znajdziemy wiersz pt. *Słowo*. Oto on: *słowo zapisane / słowo dane / złamane słowo // słowo / z kneblem / w ustach // słowo bite / aresztowane / słowo zdradzone // słowo / z pozrywanymi ścięgnowanymi // słowo wołające o pomstę do nieba / ale nieba nie ma! // nieba nie ma / Ale są / jego sprzedawcy // niebo w sprayu! / niebo w aerozolu! / niebo po kawałku! // wołają w świątyniach / gazetach / na billboardach // w sakwach mają / oprócz srebrników / gwoździe // będą przybijać słowa / do Krzyża Południa / i Gwiazdy Północy // ale nazwą to / nie ukrzyżowaniem / tylko reklamą!* Proszę zauważyć, że w zasadzie ten tekst pozabawiony jest tzw. „środków artystycznych”. W

sporej mierze jest to tzw. „mówienie wprost”. A jednak jest to utwór poetycki. Tak nie mówimy na co dzień. W tej prostocie czuję się gorączkę. I protest. I przesłanie. Można ten tekst nazwać protest-wierszem. W dużej mierze gdzieś tu ścieżki biegną od manifestów grupy „Teraz”, lecz ta pojawiająca się na końcu reklama to już ikona obecnego czasu.

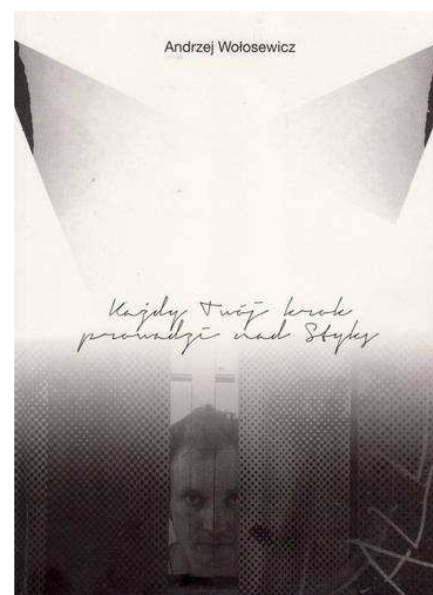
Ale Wołosewicz nie ogranicza się li tylko do relacji społecznych. Bardzo uwiódł mnie wiersz *Niepoetyckie zajęcia poetyckich przyjaciół: Francois Villon studiował na Sorbonie / zanim został sobą czyli poetą i przestępcą // Paul Verlaine strzela do Artura Rimbaud / i to z zupełnie niepoetyckich powodów // sam Rimbaud był nadzorcą w kamieniołomach Cypru / oraz handlarzem kawą skórkami piżmem i bronią // wychodzę więc na ciężkiego idiotę powtarzając w kółko / że ręka zajęta piórem nie trzyma broni lub maczugi // nasza ludzka przemysłowość i duchowe otchłanie / zostawiają daleko w tyle każdą przebiegłość słowa // zatem schylając się nad kartką z wersami bacz pilnie / jak ciężka krew płynie w żyłach liter*. No, mamy do czynienia w tym wierszu z kontekstem kulturowym, ale etycznie zuniwersalizowanym w sposób znakomity i mądry. Rzekłbym nawet: poruszający. Właśnie w takich wierszach jak ten Andrzej znakomicie realizuje swoją koncepcję istotności poezji.

Osobne moje poruszenie wywołało kilka wierszy, w których pojawia się cień Gąsiorowskiego. W ostatnim okresie swojego życia Krzysztof i Andrzej byli blisko. Krzysztof w ręce Andrzeja złożył zapis swojej spuści czy – stąd ten doktorat, o którym pisałem na początku. Jeden z tych wierszy toczy się tak: *utrwalić rysy twarzy / gdy śmierć już mieszka w człowieku // rozpoznać ją / wbrew totalnej zachłanności życia // przyłapać wyprutą z treści / pod maską medialnego świata // utrwalić jej rysy / gdy już mieszka w nas // utrwalić je patrząc w lustro / albo na Gąsiorowskiego // gdy siedzi w brudnym fotelu / doskonale z nim stopiony // jakby miał się za chwilę / rozpuścić w nieodróżnialności // rozpoznać rysy śmierci / w uśmiechniętym pysku życia // gdy jeszcze nie cuchnie z ust / a wypowiedane słowa są mądre // bo im się zdaje że wiedzą o co chodzi / choć to od początku było kłamstwem / utrwalić to jak najdokładniej / nas pochybel wszystkiemu*.

Proszę zauważyć, ile w cytowanych tu przeze mnie wierszach jest iskry i ikry, wigoru i temperatury. A nic nie przerysowane ani nie obleczone w patos. Moim zdaniem fundamentem takich walorów zawsze jest dobitność nieegzaltowana, mądrość przekazu, prostota skojarzeń. Z tym że Wołosewicz ma także zdolność przekazu wyrazistego, niemal dosłownego. I jest jeszcze jedna przyczyna: on pisze wtedy, gdy ma coś do powiedzenia. Gdy coś mu naprawdę leży na wątrobie. Może rzeczywiście poezja powinna wynikać z uniesień rozumu, nie pięknoduchostwa?

W ogóle w tym tomiku śmierci jest więcej... Poza duchem Gąsiorowskiego błakają się w niej dusze Wojciecha Hermmana, Zbyszka Jerzyny,

Kazimierza Ratonia, Andrzeja K. Waśkiewicza... Chcę jeszcze zacytować wiersz pt. *Stary Czesław Miłosz i unieważnienie historii: stary Czesław Miłosz jednemu z ostatnich tekstów / dał tytuł Szczęście // szczęśliwym zaś poczuł się gdy stanął na łące / gdzie nigdy nie znajdował się jego rodzinny dom // stanął tam i zobaczył kompozycję łąki pod stopami / jakiej nie spotkał nigdy w swoim długim życiu // w tym samym momencie unieważniła się dla niego historia*. Proszę zauważyć: pointa jest niespodziewana, zaskakująca i wzruszająca. Oto Miłosz macha ręką na Historię, gdy stanął w swoim *genius loci*, gdy poczuł pod stopami rudymet i źródło. Ta prostota tutaj porusza, ta czułość drobniawego wyrastającego nagle ponad wielkie idee. Andrzej, gratuluję Ci tego tomiku. Mogłeś w nim się unosić, filozofować (jak przystało na Twoją wiedzę), budować cokoły i mnożyć Wielkie Słowa. Poszedłeś w zwykłość, w prostotę, w Sens nieudrapowany uniesieniem. Równocześnie Twoje „mówienie wprost” nie zrezygnowało z metafor i parabol, lecz wytyczyło granicę między „prawdą prawdziwą” a „prawdą ozdobną”. Powstały świetne i mądre wiersze.



Andrzej Wołosewicz, „Każdy Twój krok prowadzi nad Styks”. Ilustracje fotograficzne: Alexandra Hinz-Władyka. Opracowanie graficzne: Konrad Kowalczyk, Zaulek Wydawniczy „Pomyłka”, Szczecin 2014, s. 58.

Andrzej Wołosewicz

Zły sezon

odchodzą przyjaciele
bez zgody i pozwolenia

chowają się za trumny
nekrelogi i pierwsze śniegi

miast nowych metafor i przenośni
sami się przenoszą

zaczął się sezon na pogrzeby
zły sezon

Józef Faktor Stopka

Idom Świynta

Ucichły już skrzypce i góralskie granio,
 Nastół Świynty Adwent Bożego cekanio.
 Dzieci z lampionami na roroty śpiesom,
 Bo już blisko świynta, strasnie się tym ciesom.
 Holny poduchuje i nowinę niesie,
 Ze świynty Mikołoj zimę nom przyniesie.
 A świynto Barbara świynta prorokuje,
 Jakie syćkim gody pogoda ryktuje.
 Prorokini Łucja różne wieści niesie,
 Jaki nowy rocek syćkik ceko przecie.
 Gwiozda hetki z nieba Boga nom sprowadzi,
 I królów ze wschodu hetki przyprowadzi.
 A w wilijom dzieci gwiozdkki wyzieraom,
 Kiedy się oplątkem wspólnie dzielić majom.
 Po pasterce podłaznicy ozweselom domy,
 Niek dom kozdyj młodej będzie pokwołony.
 Przeróżne zycenia panny wysłuchajom
 W tom noc podłazników co ik odwiedzajom.
 Kolyndnicy casy Jezusa przybocom,
 Jako do Betlejem pasterze śli nocom.
 Same dni radosne syćkik nos cekajom,
 Bo świynta niedługo, króle się kłaniajom.
 Adwentowe światelka lampionów blinkajom,
 Syćka na Jezusa małego cekajom.
 I drzewko przebogato dzieci ubierajom,
 „Bóg się rodzi” syćka kolynde śpiewajom.
 Telo różnyk radości grudzień z sobom niesie,
 Boccie, blisko świynta – idzie Zbawca przecie.

Wilijo

Wilijo, wilijo!
 Góralsko wilijo,
 Pod Giewontem hawok,
 Gazda jom zacyno.
 Zycień całe mocki
 Przedstawić i głosi
 I wieczerzać godnie
 Syćkik gości prosi.

Snopek zbozo pod strzechom
 Sto j i wyzdajany,
 Na wiliom ceko,
 Na sianie schowany.

Z wróżbami swoimi
 Panny w dźwiyrzak stojom,
 Wyziyrajom gwiozdkki,
 Dzieci drzywko strojom.

Oplątek, kolyndy,
 Wiecór nom bogaci,
 Ludzie krapke lepsi,
 Hetki noinaksi.
 Podłaznicy panien
 Domy odwiedzajom,
 „Na scynście, na zdrowie...”
 I owsem praska j om.

Wilijo przy stole,

Syćkik zgromadziła,
 Pojednała wrogów,
 Wróżby przybocyła.

Bóg się rodzi

Bóg się rodzi,
 Gwiozda wschodzi
 Nad stajenki sopy dach.
 Anioł głosi
 „Gloryjo...” śpiywo,
 A na dudak pasterz gro.

Lecom głosy
 Pod niebiosy,
 Na kolynde przysel cas.
 Bóg się rodzi,
 Syćko woło,
 Gwiozda daje światła blask.

Króle jadom
 Het ze wschodu.
 Wielbłąd dysy ze jaz strach.
 Swoje dary
 Daj om Bogu
 Mirrę, złoto i kadzidło,
 Od swojego serca dar.

Gwiozda świto,
 Pasterz wito,
 W sopie nieba Bóg i Król.
 Owiec kyrdel
 Het ostawił,
 Bo narodził się nom Bóg.

Kozdy Świynta cuje

Ucmy młodyk downyk zwyków,
 Kie som jesse mali,
 Opowiedzmy o podłazach,
 Coby pamiętali.

Bo podłazy – tak wom powiem
 – hetki zanikajom,
 Dobrze, ze nieroz chłopcyska
 W świynta wspominajom.

Z dowien downa – tak wom powiem,
 W tym świontecznym casie,
 Kie narodził się nom Jezus
 W bacowskim sałasie.

Przy tym owsem wsyndy sioli,
 – Het po biołyj izbie.
 Dziwyntom się zalecali,
 – Bo to przecie ik dzień.



Anna Kiesewetter

Wigilia 2012

Gdzieś w oddali już widać
 maleńki punkcik na niebie,
 uwaga, uwaga, nadchodzi,
 zbliża się jak nadzieja,
 niby chwila wytchnienia,
 nie ma się dokąd spieszyć,
 odrobiono zadania
 i spełniono życzenia,
 znieruchomiały przestrzenie,
 złość ziewa, leniwa zmęczeniem,
 punkt na niebie narasta,
 wdziera się w nasze istnienie,
 życie rozdziela jak ziemię,
 kładzie na czołach swój spokój,
 ciepło sływa milczeniem.
 Cisza, jak ona potrafi
 usnąć, ukoić, rozbawić,
 co było zbawione zbawić,
 co było zepsute naprawić.
 Punkt na niebie pulsuje,
 zmienia barwy, wiruje,
 bucha płomieniem, wypełnia
 pustkę, przyczynę, czekanie
 na każde następne istnienie,
 na nieustanny i niezmienny,
 a powtarzalny cud.

Błękit

Przychodzisz do mnie
 prawie każdej nocy
 z błękitną różą
 złożoną w twej dłoni,
 jej ciernie bołą,
 choć może nie bardzo,
 bo umiesz nosić
 błękit jak koronę.
 Spłonęły już dawno
 chwasty tamtej ziemi,
 co jeszcze tak niedawno
 kuśla spoczynkiem,
 błękitna róża
 pozbywa się cierni,
 miękkość swą składa
 jak ust pocałunkiem.
 Choć czas ucieka,
 choć czas wciąż nas goni,
 rosną w ogrodzie
 kiedyś barbarzyńskim
 błękitne róże,
 jak dotyk twej dłoni,
 gdy się w błękitcie
 zanurzam jak w toni.

Nieznane miasto

To jedno miasto żyje,
 jak twór jakiś niemy,
 pełźnie przez własnej drogi

postrzępione brzegi.
Nie ma swego imienia
i nie zna adresu,
miasto skreślone nagle
na kartkach notesu.
Z każdym podmuchem wiatru
oddechem unosi
tumany brudu, kurzu
i o słotę prosi.
Miasto moje przekłete
i miasto żebracze,
jakże je można znaleźć,
na mapie zaznaczyć?
Odkryć kiedyś na nowo,
zarosłe i blade,
zgarnąć suche gałęzie,
wbicić w ziemię łopatę
i może wreszcie znowu
w przestrzeni zagości,
to miasto i bez nazwy
i już bez litości.

Adrian Tuje

Kroki

Kroki

Późne wieczory wybrzmiewają
albo tykaniem zegara,
albo odgłosem twoich kroków.

Być może stopy jak uniżeni służby
mimo zmęczenia muszą długo
wchodzić po wysokich schodach.

Albo cherlawe wskazówki
zataczają ponownie koło
i akurat mają pod górkę.

Wiem, kroki mogą zbliżać się
i oddalać z rażącym rozmachem, który
na szczęście maleje z każdą sekundą.

To dlatego noc zaczyna się tak:
czas usypia moją czujność,
pieszczotliwie liżąc rany,
póki nie przyjdiesz
do mnie we śnie.

Jak tylko nauczysz się latać

W twoich ustach *operating manual* brzmi
lekko,
aż mam przed oczami lekcję latania sójek.

Jeszcze nie dzieli nas morze, więc usiłuję
wyobrazić sobie, że fałdy pościeli to fale,
za którymi świat ma coś do zaoferowania,
a ty oblizujesz się łapczywie jak kot syjam-
ski.

Masz tylko jedno życie, nawet jeśli jesteś

kotem,
to możesz być jedynie nim albo sójką, która
ucieknie
do ciepłych krajów jak tylko nauczysz się
latać.
Więc musisz zdecydować, które z nas będzie
kim.

I nawet gdy zostanę w czterech łapach i
będę umierać
z głodu za tobą, to w twoich ustach zabrzmia-
to lekko.

Andrzej Bartyński

Drabina

To czarny kot nocy
ze złotym ogonem księżycza
chodzi po moich wierszach
jak po drabinie wszechświata

A dokąd się on tak wspina
telewizyjna pyta blondyna
ten kot czy poeta
pyta biblijny egzegeta

Ani ten kot
ani autor
to po drabinie się wspina
sam Pan Bóg
do swojego mieszkania
w niebieskim gołębniku

Niesłychanie wysoko mieszka
mruczy kot mrużąc oczy
na myśl o smakowitych gołąbkach

Zagryźć i zjeść – zagryźć i zjeść
kot recytuje przewodni wiersz

Zabić i cześć – pieniądze mieć
człowiek jest śmieć – pieniądze mieć
Świat wykonuje powszechną pieśń

Panie Boże
kiedy przeczytasz moje wiersze
może Twój świat
stanie się piękniejszy

Co jest?

Jest dwutysięczny szósty rok
po narodzeniu owego Jezusa z Nazaretu
piąty wrzesień wtorek
dzień bardzo słoneczny w Polanicy
na ulicy Warszawskiej spotykam Adolfa
Hitlera

który uśmiechając się do mnie powiada:
– Witaj Stalinie!
Czy i ty tu jesteś
też na wypoczynku tak jak ja?
Wszyscy myślą że już nas nie ma

a tymczasem...
to bardzo dobrze
nie musimy rozdawać autografów
Uśmiech za uśmiech
odpowiadam po koleżeńsku koledze
Hitlerowi
w duchu pojednania narodów
jego językiem: – Gott mit uns.

Widzisz czytelniku?

Podobnie jest z poezją
wszyscy myślą że jej nie ma

Obok kina

Staął Broniewski obok kina
rozdaje ludziom biel ulotek
na której krwawo lśni maksyma
Śmierć wyzyskiwaczom!
Śmierć kapitalistom!
Śmierć sukinsynom!

Stoi Broniewski oczy płoną
biedni Polacy przy nim stoją
na smutnych twarzach uśmiech blade
Panie Broniewski nie ma rady

Trzeba uklęknąć schylić głowę
i co najwyżej o połowę
błagać i skamleć
a drugą oddać bogatemu
co wznosi złoty gmach systemu
gdzie w zwierciadlanych salach uciech
szaleje wyzysk mówiąc w skrócie
zgarnia mamonę ręką boską
strzela palcami zdrów beztrąsko

To nowy Bóg jest
i religia
dla młodych ludzi
zachwyty skrzydła
Na bezrobocia poligonach
czołgi depresji
naród kona
Panie Broniewski
gdzie obrona?

Stoi Broniewski obok kina
skin idzie sobie obok skina
związkowiec poseł i senator
gapią się na to i na tamto
puszczają w telewizji bajer
związkowiec poseł i senator
rujną Polskę nie za frajer

Ryknał Broniewski jak lew gniewny
i zrzucił z ramion pelerynę
ale to tylko akord śpiewny żeby zakończyć
sonatinę



Andrzej Walter

Ty jeszcze wcale nie umarłaś...

Niniejszy tekst powstał pod wpływem poezji Andrzeja Krzysztofa Torbusa, i ofiaruję go Pamięci: Anny Kajtoch, Ryszarda Rodzika i Mojej Babci – Jadwigi.

Życie jest przecież tuż obok. Na wyciągnięcie ręki. Zaczyna się, albo kończy, ale najczęściej sobie trwa i pochłania nas bardziej niż byśmy tego chcieli. Pochłania nas tak, że aż przestajemy dostrzegać człowieka obok nas. Człowieka z krwi i kości, człowieka z duszy. Człowieka realnego, czasem smutnego, czasem radosnego, któremu pisany jest przecież ten sam Los, co i nam.

Obejrzałem niedawno film Wiesława Saniawskiego z 2006 roku pod tytułem „Bezmiar sprawiedliwości”. Akcja filmu toczy się głównie w sali sądowej, w prokuraturze i kancelarii adwokackiej. Opisane w scenariuszu zdarzenia inspirowane są prawdziwą historią, która miała miejsce we Wrocławiu na początku lat dziewięćdziesiątych. Dwudziestopięcioletnia dziennikarka telewizyjna, będąca w ósmym miesiącu ciąży, została zamordowana. Policja aresztowała jej kolegę z pracy, trzynastoletniego starszego, żonatego i posiadającego rodzinę realizatora telewizyjnego, z którym od ponad roku była związana. Mimo że prokuratura nie przedstawiła żadnych dowodów bezpośrednich, mężczyzna został skazany, a później ułaskawiony. Współautor pomysłu na scenariusz, adwokat Andrzej Malicki, był jednym z uczestników procesu. Skazanego (jak się okazało niesłusznie) na 25 lat więzienia – zagrał Artur Żmijewski.

Film opowiada tę historię zajmującą, z trzech różnych perspektyw widzenia – adwokata, prokuratora i sędziego. Dość głęboko wnika w psychikę bohaterów. Jednak kulminacją i ostateczną puentą filmu jest przejmująca scena, kiedy młody prawnik oferuje niesprawiedliwe skazaniu, u schyłku jego życia – po odbyciu zasądzonej kary – właściwą prawdzie rehabilitację. Spotyka to naszego bohatera na szpitalnym korytarzu, siedzącego z głową w dłoniach, o zmroku, kiedy najprawdopodobniej towarzyszy swojej najbliższej, umierającej właśnie osobie. Długo spogląda na tego młodego prawnika, rozważa jego słowa, po czym prosi go, aby odszedł i nie proponował mu tego ponownie. Widząc niepomiarne zdziwienie, wręcz szok, na twarzy ambitnego jurysty, otwiera drzwi szpitalnej sali, na której leży ktoś pod kropłówką i wskazując tę scenę, rzuca jakby w eter: – *Oto jest cała prawda o naszym, ...o moim i twoim życiu!*

Cała prawda o naszym, twoim i moim ży-

ciu... kończy się na szpitalnym czy domowym łóżku i czeka... na Koniec. Ta prawda, która właśnie leży tam: w ciszy, wielkim opuszczeniu, zaleknienu i... umiera. Jak w przyszłości – Ty czy ja...

Uwierzyć. Dreszcz przechodzi człowieka. Przejmując go na wskroś, uzbraja mimowolnie w ten odwieczny nasz lęk, lęk, z którym zadowani rodzimy się, aby narastał przez całe życie i skoncentrował się wreszcie przed jego końcem. I całe to nasze życie to po prostu różne sposoby na radzenie sobie z nim. Różne pozy przyjęte celem obłaskawienia go, wyrzucenia poza nawias świadomości, poza siebie samego i poza najbliższe otoczenie. Ucieczka, jakby w redukcję tego strachu. Kto mówi, że go nie ma – kłamie, albo po prostu jeszcze kłamie; Oszukuje sam siebie; I nadal ucieka...

Może jest tak, że jesienne szarugi nakładają nas samoistnie do takich rozmyślań? Może nasze polskie, wspaniałe w wymowie, Święto Zmarłych 1 listopada stanowi ten punkt odniesienia do pamięci i przemijalności? Może warto pochylić się nad losem i przypomnieć sobie – człowieku (!) – mementa Mori...

Jest taki znakomity wiersz Andrzeja Krzysztofa Torbusa (bez tytułu) /z tomu *Miłośniki Miłosne liryki* z roku 2001/:

*od wczoraj nowe masz mieszkanie
ładnie w nim schludnie czysto jasno
zazdroszczę ci ciszy poobiedniej, ja
nie mogę jakoś w domu zasnąć*

*jak ci się mieszka? jak się wiedzie
czy nie natrętni są sąsiedzi?
wieczorem z książką w ciepłym swetrze
przy oknie pewnie sobie siedzisz*

*wiesz, że te plamki na parkiecie
to dzisiaj właśnie Kasia starła
bo nam się zdaje że w ogóle
ty jeszcze wcale nie umarłaś*

Ten wiersz... i te słowa... **bo nam się здаje... ty jeszcze wcale nie umarłaś...** Ten wiersz wdzierają się w nas jakże głęboko... chyba najgłębiej jak się da, i chyba najlepiej oddaje to, co nam w się życiu przydarza. To, co przydarza się każdemu.

Był ktoś, i kogoś nagle nie ma, ale nam się wciąż wydaje, jakby był. Bo chyba i przecież jest. Chyba słyszymy jego głos, jego kroki, jego ślady, jego miłość – to wszystko wdarło się tak potężnie do naszej pamięci, aby już na zawsze w niej pozostać. Z nami pozostać. I tutaj każdy może wymienić – z imienia i nazwiska: swoją Mamę, albo swojego Tatę, albo ...Babcie, Dziadka, ...syna, córkę (!?) czy

też nam bliskich – Annę Kajtochową, Ryszarda Rodzika, Juliana Kawalca, Tadeusza Cugowa, Tadeusza Różewicza, Jurija Zawgordnego... i wielu, wielu innych, którzy akurat nie zagościli w tej chwili w mej ułomnej pamięci (za co przepraszam), ale też możemy „wymienić” tu nikomu nieznanego, zwykłego, szarego – ale przecież sobie najbliższego – człowieka... Ta „lista” jest właściwie wszystkim co posiadamy.

I wszystkim czy się staniemy. Może być ciągle uzupełniana. I też jest... To jest **lista nieobecności**. Jakże ważna i jakże wśród nas... **obecna**. Jakże niezbędna i nieunikniona. Wciąż rozszerzająca się lista wspomnień... Dziennik szkolny wywoływanych do odpowiedzi. Lecz Oni milczą. Nieodwołalnie ugaszeni, a wciąż jakby żywi, pośród nas, wciąż nam potrzebni, wciąż wskazujący Drogę, Kierunek i tę **całą Prawdę**...

Ktoś jednak wyciera, właśnie teraz, szkolną tablicę z ich Słów...

Oto jest cała prawda o naszym życiu.

I znów – na takie dictum – sięgnę, do cieplej przecież i wyjątkowej na dzisiejsze czasy, poezji Andrzeja Torbusa w „Rozmowie z samym sobą” /z tomu „Nocne rozmowy” 1996/:

*Najtrudniej –
porozmawiać ze sobą
kiedy nikt nie słyszy
ile mamy
sobie do powiedzenia*

oraz spojrzę do innego wiersza – wyjątkowej „Rozmowy przedostatniej” /z tomu „Ballady marnotrawnego”, 1990/.

*i tyle po nas
ile kot napłaczę
ile piotunu
w porannych rozmowach
na czystym niebie
smuga odrzutowca
na brudnej ścianie
ślad po fotografii*

*i tyle po nas
ile wisi w szafie
znośzonych ubrań
butów zdartych do cna
ile w wigilię
uronionych kropel
przez mróz na szybie
odśpiewanych kołęd*

*i tyle po nas
ile wiatr pamięta
nic więcej*

*nic dłużej
nic ponad to co jest*

Tak więc, teraz oto, możemy wejść w słowo poecie nostalgii i oświadczyć mu z całą stanowczością, że my jednak pamiętać będziemy, nie zetrzemy tych słów ze szkolnej tablicy, na przekór (usprawiedliwionej) nieobecności, i na przekór ceniom, wiatrom, i że nie pozwolimy umrzeć, jej – Jej – czyli Rzeczy najważniejszej, naszej Pamięci. Bo czymże byśmy bez niej byli? Miedzią brzęczącą? Cymbałem brzmiącym? A może niczym? **Teraz bowiem widzimy jakby w zwierciadle, niejasno, wtedy zaś, zobaczymy twarzą w twarz...**

A kiedy już wrócimy od tych nostalgii do naszego jedyne, prawdziwego i z własnej perspektywy przeżywanego życia niechaj zagości w nim pewna Jednolitość Pamięci. Coś, co pozwala nam w tym życiu trwać, budować i na co dzień podejmować każdy kolejny trud. Bez tych, którzy byli przed nami, nie byłoby bowiem nas. Bez tych, którzy byli przed nami, nie dałoby się bowiem zachować ciągłości, jakże niezbędnej do uchwycenia poczucia sensu tego niepowtarzalnego, autorskiego, że się tak wyrażę - trwania. Jedyne jakie znamy, jedyne jakie mamy – żyjąc łaskawie tu, na tej właśnie – jedynej opisywalnej poezji i dobrem – Ziemi.

A kiedy już wrócimy od tych nostalgii... nigdy, przenigdy, nie pozwólmy sobie zapomnieć po co tutaj jesteśmy. Nie po to, aby gromadzić. Nie po to, aby błyszczeć na świecznikach wydarzeń, z logo za pan brat, lecz właśnie po to, aby komuś podać rękę, aby wyciągnąć do kogoś dłoń, aby wesprzeć to wszystko... (lub kogoś), kogo jeszcze wesprzeć zdołamy...

I na koniec tych... nostalgii „Znowu wiersz do Ciebie” /z tomu *Miłośniki, Miłosne liryki* 2001/.

*Różne są sprawy – trudne, proste,
cóż – Twoja ręka ich nie zmienia.
W jedną nas stronę wiezie okręt,
jeden nas los pcha ku jesieni.*

*Może to złe, a może dobre,
sprzeczne teorie o tym krążą.
A my uparcie i niemądrze
dni naszych rozcinamy jądrowo.*

*I tylko jutro się boimy,
jak małe dzieci ciemnych kątów.
Bo drogi zawiąć mogą zimy,
a strach zaczynać od początku.*

Wszystkie te prawdy wydają się być tak oczywiste. Tak proste, i tak odwieczne, i... tak jakby banalne. Są też jednak, w tej prostodusznej banalności – w naszym ciągłym biegu, w nieustannym szarpaniu się z Życiem – tak trudne do realizacji, że aż nierealne. Najtrudniejsze jakie dano nam zgłębić. I

chyba, choćby dlatego właśnie, warto je rok rok przypominać, przywoływać, na nowo otwierać. Sobie samemu i napotkanym „innym”... Jako znak ostrzegawczy, jako przestrożę, aby czegoś w tym życiu, raz na zawsze, po prostu nie przegapić ... Można to uczynić właśnie wędrując meandrami Twoich (Andrzeju) zamyśleń.

Dziękujemy Ci, Poeto – mój drogi imienniku, za Twoją poezję, pełną spraw najważniejszych. Potrafi ona nas bowiem przenieść w innym wymiar naszego bytu.

I jest to wymiar nieoceniony. Wymiar ziarenka piasku, na gigantycznej pustyni coraz bardziej wyschniętych słów, zredukowanych znaczeń i wypaczonych sensów. Jest to wymiar tego ziarna, któremu od zarania dziejów przyglądamy się wnikliwie, i od początku Bytu, od Wielkiego Wybuchu, z niezmienną fascynacją dostrzegamy sam prosty, najprostszy przecież fakt – że ono istnieje.

Andrzej Walter

Przedruk za zgodą portalu: pisarze.pl



W osiemdziesięciolecie urodzin Rafała Orlewskiego wspomnienia i refleksje

Boże, jak ten czas leci, jesteśmy starzy, a byliśmy dziećmi. Przynajmniej ja byłem jeszcze, formalnie, czyli metrykalnie rzecz biorąc, dzieckiem, bo do osiemnastki brakowało mi dwóch pełnych lat. Rafał miał lat dwadzieścia pięć. Był nauczycielem w Kolumnie (obecnie dzielnica Łasku), miał też jakiś wysoki stopień w harcerstwie. Poza tym był smukłym, zgrabnym i przystojnym mężczyzną o wyrazistym niskawym głosie przystosowanym raczej do wydawania poleceń i komend niż do uczestniczenia w jakichś, powiedzmy, scholastycznych dysputach. Ten głos stanowczy i niskawy pozostał mu do dziś, tak jak pozostało mu odręczne pismo – kształtne i wyraźne, mimo że dzisiaj jest to głos i pismo osiemdziesięciolatka dotkniętego częściowym paralizem od wielu lat.

Wobec swojego ciała Rafał najwidoczniej odnosi się w sposób, w jaki wysokiej rangi przywódca odnosi się do swoich podwładnych – z rozsądnym umiarem nie znoszącym jednak sprzeciwu i mazgajstwa. Nie wiem, czy

jest antropologicznym spirytualistą, ale jestem pewien, że w relacjach ciało-duch oddaje zdecydowany prym duchowi. Jest nie tylko formalnie harcmistrzem od druhow harcerzy, lecz i, chciałoby się rzec, harcmistrzem swojego losu. Więc silnym, niezależnym od cielesnych dolegliwości duchem.

I z tego ducha wywodzi się jego poezja. Po raz pierwszy zetknąłem się z nią i jej autorem jako szesnastolatek w 1959 roku, gdy znalazłem się w grupie poetyckiej (czy ogólnej: literackiej) „Grabia 59” zaistniałej wiosną tegoż właśnie roku w Łasku z inicjatywy miejscowego dziennikarza, poligloty i nauczyciela licealnego Jana Janiszewskiego. Ten, jakimś sobie tylko znanym sposobem, wytropił wszystkich adeptów pióra mieszkających w Łasku i okolicy. Wtedy byli to właściwie sami poeci, bo nawet znany później prozaik Eugeniusz Iwanicki w owym czasie upierał się przy statusie poety, prozę mając niejako w odwodzie, choć debiut miał za sobą właśnie w prozie i to w cenionym wówczas piśmie – „Nadodrze”. Rafał wówczas występował wyłącznie jako poeta, szanowany przez nas wszystkich, bo jako jedyny był po debiucie. Jak przystało na harcerza – w harcerskim tygodniku „Na Przełaj”. W tym kolorowym piśmie raz w miesiącu pojawiał się dodatek pt. „Kawiarenka poetycka”. Była to cała kolumna poświęcona publikacji wierszy młodych poetów. Poziom artystyczny, jaki tam obowiązywał, mógłby zniechęcić lub nawet przstraszyć co najmniej kilkuset współczesnych poetów. Był dość wysoki. Bo też publikowali tam nie tylko najmłodszy i wcale niekoniecznie harcerze, tylko różni, niekiedy całkiem dojrzały poeci.

Zanim spotkałem Rafała w żywej, konkretnej postaci, znałem go z opowieści Romana Wilka – kolegi z jednej klasy, również piszącego wiersze, mieszkającego w Kolumnie, a więc po sąsiedzku z Rafałem. On to doradził mi, abym swoje wiersze pokazał Rafałowi, by uzyskać od niego fachową ocenę i poradę. I tak też się stało. Zeszyt szesnastokartkowy w kratkę powędrował przez Romka do Rafała. Po paru dniach wrócił wraz z dość obszernym listem od starszego poety. Był to ni mniej, ni więcej tylko pierwsza recenzja, jaką w życiu otrzymałem – bardzo wnikliwa i bardzo życzliwa. Jej autor nie żałował mi uwag krytycznych – zarówno szczegółowych jak i ogólnych. Lecz całość jego wypowiedzi miała charakter nie tylko literacki, ale i pedagogiczny. Była przeniknięta troską o dobro ucznia, o jego rozwój. Tak mógł postąpić tylko prawdziwy nauczyciel. Odczułem to bardzo wyraźnie i od tej pory Rafał stał się dla mnie autorytetem w sprawach poezji. Autorytetem jedynym w swoim rodzaju, bo nie tylko w ściśle literackim sensie, ale i w sensie niejako pedagogicznym i moralnym. Wiedziałem, że to, co mówi, nie jest mówieniem dla mówienia, lecz wyrazem zarówno fachowości jak

(Dokończenie na stronie 10)

W osiemdziesięciolecie urodzin Rafała Orlewskiego wspomnienia i refleksje

(Dokończenie ze strony 9)

i przyjacielskiej życzliwości. Było to dla mnie tym ważniejsze, że w szkole jako uczeń nie odnosiłem sukcesów. Żaden też z belfrów, nawet polonista, nie interesował się moim poezjowaniem. Obrywałem dwójce za nieodrobione lekcje. W tej sytuacji Rafał urosł w moich oczach i odczuciach do roli prawdziwego pocieszyciela, który zaszczepił we mnie i podtrzymywał wiarę w swoją wartość.

A wracając do wspomnianej pierwszej recenzji, to muszę powiedzieć, że dopiero od Rafała dowiedziałem się z niej o istnieniu wielu współczesnych poetów i o nowoczesnej poezji jako takiej. Dzięki jego informacji mogłem rozpocząć skuteczne poszukiwania tomików takich poetów jak Różewicz (miał on wtedy zaledwie trzydzieści sześć czy siedem lat, a był już bardzo znany), Jerzy Harasymowicz (bardzo mi wtedy przypadł do gustu), Grochowiak i inni. Pod wpływem tych twórców – wtedy jeszcze bardzo młodych, zmieniłem swój styl ze staroświeckiego na bardziej nowoczesny, co ułatwiło mi stosunkowo wczesny debiut, bo już we wrześniowym numerze „Na Przelaj” z roku 1959 oraz kolejne publikacje.

Nie powiedziałbym jednak wszystkiego, co ważne było wtedy w moim życiu łaskiego licealisty i wierszopisa dojeżdżającego do ŁO zdezelowanym rowerem z Czestkowa – wsi oddalonej od powiatowej metropolii o sześć kilometrów, gdybym nie wspomniał o jeszcze jednym wydarzeniu. Miało ono charakter inicjacji, oczywiście nie w poezję, bo to już nastąpiło u mnie znacznie wcześniej, lecz w... dorosłe życie. Oto pewnego razu po spotkaniu grupy „Grabia 59” znalazłem się na zaproszenie Rafała w łaskiej gospodzie. Był tam również, pamiętam, poeta Roman Wiek. Nie pamiętam natomiast, czy kiedykolwiek wcześniej zdarzyło mi się trafić choćby na chwilę do tak poważnego przybytku dla dorosłych. Uczta była niezwykła. Po jakiejś przekąsce stanął przede mną kufel grzanego piwa z sokiem. Pierwszy raz w życiu piłem prawdziwe piwo w towarzystwie i za sprawą prawdziwego poety. Nigdy aż do dziś nie smakowało mi piwo tak wybornie jak wtedy. Wróciłem do domu z poczuciem dumy i powagi. Piłem przecież napój zarezerwowany dla dorosłych i to w jakim towarzystwie – i starszym i mądrzejszym, i ważnym, bo prawdziwym poetyckim.

A godzi się w tym miejscu powiedzieć i

to, że nigdy, nawet przy tym piwie, rozmowy z Rafałem nie dotyczyły banałów. Zawsze były to rozmowy o literaturze, poezji i o rzeczach ogólnie ważnych. Przez ten stosunkowo krótki, bo niewiele ponad dwuletni czas, gdy spotykaliśmy się w Łasku, i to niezbyt często, jako „grabianie”, otrzymywałem od Rafała, dodatkową w stosunku do szkolnej, wiedzę o literaturze. On, młody wówczas poeta i nauczyciel uwrażliwiał mnie na zjawiska, które nie były przedmiotem nauki szkolnej. Wreszcie muszę też powiedzieć i to, że on jako pierwszy upewnił mnie, że mam poetycki talent. A to dla niepewnego siebie wiejskiego chłopaka piszącego ni stąd, ni zowąd wiersze, było niezwykle ważne. Dalszy mecenat duchowy nade mną jako poetą przejął śp. Feliks Rajczak, ale to już inna historia, choć bliska do tej w czasie i w przestrzeni.

W tym roku Rafał Orlewski ukończył osiemdziesiąt lat. Kontaktujemy się listami pisanymi ręcznie. Komputery nas obu zgodnie odpychają jako narzędzia zabijające intymność przyjaźni. Rafał, jak to wspomniałem wyżej, ma do dziś piękne kształtne pismo i listy jego są zazwyczaj parostronicowe. Zachował jasność umysłu nieczęstą w tym wieku. I wenę twórczą. Co jakiś czas otrzymuję od niego książkę – zbiór wierszy lub jakąś prozę, m.in. wspomnieniową. Podziwiam ten twórczy upór człowieka, którego los tak srodo dotknął cierpieniem.

Ciekawe, w ilu okazałych tomach można by zawrzeć całość literackiego dorobku Rafała. Czy starczyłoby kilkanaście? Nie umiem na to pytanie odpowiedzieć. Mam natomiast jasną odpowiedź na pytanie o wartość tego dorobku. Co się tyczy poezji, to dałem ją Rafałowi bezpośrednio i najkrócej jak tylko można. Otóż dedykując mu ostatnio wydaną swoją książkę, napisałem m.in.: „poecie, który ocala godność klasycznej strofy”. Bo któż jak on dziś z poetów potrafi z taką swobodą i naturalnością posługiwać się klasycznymi wzorami poezji – układem strof, rytmu i rymów. Któż dziś potrafi jeszcze tworzyć prawdziwe sonety – najkunsztowniejszą i najtrudniejszą z poetyckich form? Poza Rafałem Orlewskim nie znam nikogo takiego.

Ale jest on również poważnym i ważnym prozaikiem. A to głównie za sprawą jego niezwykłej powieści pt. *Sute Mosty*. Przeczytałem ją uważnie kilka lat temu, kiedy ukazała się drukiem. I pamiętam ją. I wspominam przedstawiony w niej świat z prawdziwym wzruszeniem. Dotyczy losu wiejskiej dziewczyny i jej rodziny z okolic Piotrkowa Trybunalskiego – losu, który rozegrał się w latach po Powstaniu Styczniowym, gdzieś na początku ostatniego ćwierćwiecza XIX wieku. Słuchać w tej powieści jeszcze echa powstańcze, dobiega m.in. ogłos potyczki z wojskami carskimi pod bliskimi od Piotrkowa i zwłaszcza Zelowa Sędziejowicami. Ale sednem powieści jest smutna i bardzo trudna historia wiejskiej dziewczyny, która ponad wszystko zapragnęła nauczyć się czytać i pisać. Dotkli-

wa bieda i zła wola ojca uniemożliwiła jej chodzenie po naukę do oddalonej od jej wsi szkoły. Dramatyczną i złowieszczą nutą naznacza całą powieść postawa jej ojca, byłego żołnierza carskiego. Osobowość to autorytarna, przy tym nie uznająca czynów niedozwolonych przez carskiego zaborcę. A takim była próba uczenia się czytania i pisania po polsku. Nie ma w tej powieści sentymentalizmu. Pokazana jest surowość losów głównej bohaterki i jej najbliższych. Ale również przedstawione w niej wydarzenia uświadamiają nam przynębiającą prawdę z dziejów naszego narodu w przeszłości wcale nie tak dalekiej, bo cóż to jest dla historii sto lat. Wszak tyle upłynęło od momentu, do którego wcześniej w rozebranej Polsce nie wolno było uczyć się po polsku.

Gdyby ta powieść ukazała się jakimś cudem w czasie carskiego zaboru, poczytano by ją za dzieło godne stanąć obok klasycznej prozy pozytywistów takich jak np. Eliza Orzeszkowa. Dziś nie ma najmniejszych szans na powodzenie, gdyż wisi nad nią odium patriotyzmu, zbytniego autentyzmu i tematu niegodnego czasów, w których prawda waży tak niewiele. A właśnie jeśli czegoś jej w szczególnym stopniu nie brakuje, to autentyzmu świata w niej przedstawionego. Jest ona bowiem oparta na autentycznym pamiętniku bohaterki, która ostatecznie zdobyła sztukę pisania i czytania i w końcu swego życia opisała jego początki. Trzeba było jednak dopiero fachowej narracji Rafała Orlewskiego i jego profesjonalizmu w konstruowaniu fabuły, aby zbudować z surowego, acz niezwykle ważnego materiału pamiętnikarskiego powieść – prawdziwe dzieło sztuki literackiej.

Dzieło Rafała Orlewskiego, zarówno poetyckie jak i prozatorskie, zasługuje na poważne zainteresowanie ośrodków akademickich. Spośród nich jeden powinien poczytywać za swój moralny obowiązek naukową penetrację tego dzieła. Jest to ten ośrodek, który mieści się w tym samym mieście, w którym mieszka na ostatnim piętrze jednego z jego bloków poeta i pisarz Rafał Orlewski. Tym miastem jest Piotrków Trybunalski. A ośrodek akademicki nazywa się Uniwersytet Jana Kochanowskiego w Kielcach (filia w Piotrkowie Trybunalskim). Dzieło Rafała nie jest jeszcze zamknięte. Może nas jeszcze zaskoczyć niejednym wierszem a może i prozą. Ale jest na tyle pełne i bogate, że mogłaby na jego glebie wyrosnąć niejedna rozprawa naukowa.

Kazimierz Świegiński



„Moje wołanie niech do ciebie przyjdzie”

Spośród poetyckich książek, mówiących o miłości w szerszym znaczeniu, nowy tom Alicji Patey-Grabowskiej poruszył i zaciękał mnie szczególnie. Podprowadzają do niego dwa zbiorki z dotychczasowego bogatego jej dorobku: *Oda do ciała* (Warszawa 1998, LSW) oraz *Rozum i serce* (Kielce 2010, OW „STON 2”). Część powtórzonych z nich wierszy znajduje w nowym wydaniu z końca ubiegłego roku wrażliwą kontynuację, prze-myślaną głęboko dopowiedź. Przedsmak tego daje krótki odautorski wstęp: „Miłość jest antytezą nienawiści i śmierci. Miłość niejedno ma imię. Może być do mężczyzny – kobiety, dziecka, przyrody, kraju. Może łączyć ludzkość. I taka jest tematyka, i temu służy układ tomu”. Czytając od pierwszych stron (więc i to, co było już mi znane) do ostatnich w narastającym coraz bardziej napięciu, odebrałem cały sens i walor koncepcji.

Zakłęcie: „moje wołanie niech do ciebie przyjdzie” wynika z magicznego gestu. „Czyni” go energia i moc sprawcza słowa. Poetycki obraz-akt („obnażone ciało i spragnione wargi”) ukazuje i wyraża jednocześnie, jak niewiele trzeba, by wyzwolić przemożne uczucie miłosnego pożądania, silnego i wielkiego niczym „ogień, który obejmuje niebo”. Od czego się to zaczyna? Od niezwykłego trafu odnalezienia się i zespolenia obojga, którzy rozkochują się w sobie z „łaski olśnienia” dla „jedni szczęścia” w nieodłącznym niepokoju i lęku, „aby tak wypełnione po brzegi / donieść / wspólnie / do końca” (*Olśnienie*).

Ci dwoje, będący względem siebie „twarzą w twarz w zachwycie milczenia”, są poza przestrzenią i czasem mali i zarazem najważniejsi. „Tkvimy w żrenicy kosmosu / jak dwa drobne pyłki gwiazd” – tak spuentowany jest wiersz *Pigmalion*.

Otóż ci dwoje, „wybrani przez dobroć przypadku” i złączeni swymi krwiobiegami i oddechami, zostają „scaleni w jedno” („Adama-Ewę” – ważny jest tu spajający w dwuimię łącznik), ale też „koniecznością losu” mogą być rozdzieleni: „rozdarcie na dwoje rozpruci do serca / ptakami słów które nigdy nie odnajdą gniazda”, pozostając odrębnymi bytami: „Adamem Ewą” (zapisanymi w książce z dużym odstępem, jakby po przeciwległych skrajach szerokiego domyślnie wersu).

Zresztą, bywają też „samotni sobą” zespoleni pożarem pożądania w błysku chwili: „Na nitce bezpamięci / zawieszeni” (*Zespoleni*). I bywają zespolenia szczęśliwie trwałe, sprawione „nie namietnością”, a „czułością tkliwą”, gdy w czas „dzieciństwa starości” wystarczy, żeby być ze sobą „w ogrodzie życia / na ławeczce licząc obłoki” (*Po latach*).

Jak wyczerpać rozmaitość możliwych – zwłaszcza tych duchowych – powiązań?

Także tych „na odległość” lub – pochwytnych tylko najsubtelniejszym zmysłem intuicji – gdy następuje „odpływ” i „cisza jak twarz śmierci / pozdrowienia śle”, a leżący obok siebie cisi pozostają „nieczuli na dotyk / jak ryby na stole / nakrytym do stypy” (*Cisi*). Patrzymy na pogorzeliśko po „żału namietności” wypalonym „w popiół”, gdzie „morze znowu ma barwę bladosiń / jak wargi zatrzaśnięte / i dłonie w których brzęczy pustka” (*Pogorzeliśko*). A przecież autorka tworzy jeszcze – zgodnie z zapowiedzią w cytowanym *Wstępie* – liryczne wyznania miłości do „dzieci Gai” („by małe płuca wykrzyknąć w jutrzeńkę”), przyrody, kraju, ludzkości (skoro „jestem częścią wszechświata”) – również poprzez bunt i sprzeciw wobec głuchoty i ślepoty na pleniącą się „obludę jak pleśń” i, często bezkarnie, krzywdę. Poprzez współczujące wyczuwanie na „kruchosć / ludzkiego życia”, dopóki „mój kosmos moje serce / bije” (*Przemijanie*). A to przecież nie wszystko, bo miłość dotyczy również Ojczyzny doświadczonej przez Historię, gdzie „każdy skrawek ziemi / jak z popiołu urna” (*Polska nekropolia*).

Inkrustuję tę wypowiedź fragmentami wierszy, by dowieść, jak – słuchając ich na spotkaniach w z lekka śpiwnym, sugestywnym przekazie autorki – myśli się odczuciami i odczuwa rozbudzoną metaforami wyobraźnią. I jak się, zarazem, w wystawianym ciągle na surową próbę sumieniu refleksyjnie, odbierający wrażliwie, niepokoi.

Niech teraz każdy, czytając, spróbuje wołać w sobie ów nastrój tyleż duchowego przeżycia wezbranych emocji, jak i niepokojącego zatroskania, ocalającego jak najwięcej z tego, co dla człowieka i natury najcenniejsze.

Stanisław Nyczaj



Alicja Patey-Grabowska, „Imiona miłości”. Wewnątrz reprodukcje malarstwa Wilhelma Kotarbińskiego. Wydawnictwo Miniatura, Kraków 2013, s. 63.

Czy prawda i czytelnik poszukują gwałciciela?

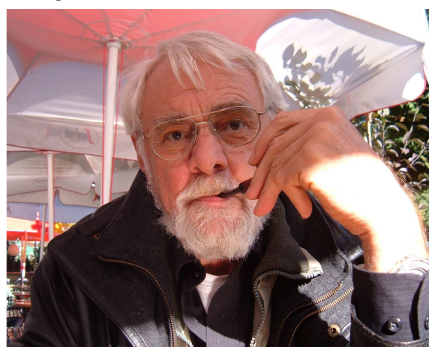
Janusz Orlikowski systematycznie dostarcza czytelnikom powodów do kolejnych wrażeń, już to tomikiem wierszy (ostatnio *Piękno, droga i czas*, 2010), już to solidną porcją zastanowień nad światem i człowiekiem, jaką zawarł między okładkami tomu *Gwałt na prawdzie. Eseje i szkice* (2014).

Pracy raczej nie należy stawiać na półce z etykietką „krytyka literacka”, bo to zubożałoby potencję omawianego zbioru. Lektura zawartości daje natomiast pełne prawo do sklasyfikowania jej, co sugeruje pierwszy człon podtytułu, jako eseistyki, choć, według mnie, z poszczególnych tekstów można wydobyć zarówno fragmenty ściśle krytycznoliterackie lub nawet egzegetyczne (zwłaszcza w częściach dotyczących odczytań Biblii), jak również będące zapisami diariuszowymi, kartkami z podróży poza siebie, w rzeczywistość. Sam pisarz sygnuje przynależność rodzajową niektórych utworów: *W sprawie tożsamości* to „mój komentarz” (s. 37); gdzie indziej mamy już termin „esej”: „sens powziętych w tym eseju rozważań” (*Pożądanie i miłość*, s. 63), „Piszę o tym zdaniu szerzej w eseju o znaczącym tytule *Mój daimonion*” (*W tajemnicy wiary*, s. 81). Tytuły czterech tekstów to efekt połączenia ogólnego czy wręcz skromnego wyrażenia „kilka słów” z dookreślającą je zapowiedzią tematyczną: *Kilka słów o świadomości, Kilka słów o cierpieniu i dzielności, Kilka słów o radości, Kilka słów o śmierci*, natomiast jeden utwór stanowi dobitny *Szkic o niczym albo krótki cień*.

Orlikowski to w pełnym sensie homo sapiens, istota nie tylko czująca, lecz rozmyślająca. Znaczna część książki została przecież owładnięta przez metafizykę, skoro autor swoje rozważania wznosi na wyższy poziom badania, niemal eksplikacji, dlatego tak dużo słów wielkich, słów-znaków wartości: autorytet, prawda, tożsamość, czas, daimonion, miłość, wiara, świadomość. Filozoficzny ładunek zbioru uderza już przez samą obecność pism i wizji Diogenesa z Synopy, Platona, Sokratesa czy Arystotelesa, szczególnie w początkowych esejach. Dla przykładu zauważmy, iż w tekście *Gwałt na prawdzie* autor dokonuje analizy dwóch zdarzeń starożytnego świata. W pierwszej części tworzy portret Sokratesa: przywołując powody skazania filozofa na karę śmierci, czyni analogie między obyczajami ateńskimi i mentalnością Unii Europejskiej. Sokrates, choć niesłusznie skazany na śmierć, nie korzysta jednak z możliwości ucieczki, a czyni to w imię prawdy. Z kolei w części drugiej Janusz Orlikowski negatywnie ocenia gest Aleksandra Macedońskiego dotyczący rozwiązania kwestii węzła gordyjskiego poprzez rozcięcie mieczem (przemoc i agresja zwyciężyły myśl). Wyodrębnijmy też grupę esejów biblijnych.

(Dokończenie na stronie 13)

Zamyślenia



Ku pokrzepieniu serc

W dniu 22 listopada 1916 roku w Katedrze Przemyskiej odbyło się nabożeństwo za duszę śp. Henryka Sienkiewicza. Był to dzień jego pogrzebu w Vevey na obczyźnie. Na polskie serca padł cios. W całej Polsce, dla której jeszcze nie wszedł świt wolności i swobody, tego dnia uderzyły żałobne dzwony, a w miejsce narodowych flag, zawisły żałobne kiry. Pisano: „Opuścił nas król w dziedzinie ducha, szermierz za narodową sprawę walczący”. I dalej: „Na spoczynek odszedł ten, który pisał ku pokrzepieniu serc i którego serce żywo biło miłością Ojczyzny. Hetman, w czasach niewoli nam przewodzący, przewodnik po najszczytniejszych drogach prawdy i piękna – ustąpił z przewodnictwa”. Sienkiewicz wyśpiewał nam tę wolność w swych nieśmiertelnych działach, budząc w duszach rodaków owo pragnienie. Oto przyjęła go ziemia szwajcarska, jak to miało miejsce z Tadeuszem Kościuszką. Mówił na uroczystej Mszy św. ks. dr Stefan Momidłowski owego listopadowego dnia: „Tuż po politycznym upadku Ojczyzny powstał największy wieszcz narodu, obudziła się poezja nieznana w czasach największego rozkwitu państwa; jak grom padały słowa wieszczów, budząc upadającego ducha, niczym balsam rany goiły, krzepiły serca, chroniły przed zwątpieniem”.

Słowo pisane, myśl... Dar dźwięczny spizu, złoto błyszczące i giętkie „a wy z tego tworzywa uczynicie mowę waszą”. A mistrzowie słowa utworzyli ramy harfy i za złoto powiązali na nią struny i poczęła śpiewać ta harfa polska. A Sienkiewicz wziął w ręce tę harfę i zaczął grać na niej...”. Słowa po duszy polskiej. Jakże dziś potrzebny taki głos, takie słowo do serc trafiające. „Bo struny, na których grał, naciągnięte były na serca polskie”. Pisał na pokrzepienie serc. Pozostały po Sienkiewiczu dzieła wielkie. To on postawił narodowi pytanie: „Quo vadis” – dokąd idziesz”. Dzieło to obiegło cały świat. Kochał go i wielbił naród. Odszedł w chwili, kiedy tenże naród rady jego tak bardzo potrzebował, stąpając ku wyżynom wolności. Wielki Mistrz polskiego słowa. Jego duch jest i dziś z nami. Jałmużnik narodu, mądry jego głos odezwał się do

świata i znalazł odgłos na całym świecie. To jego odezwy z wolnej ziemi szwajcarskiej przypominające zasługi, jakie Polska położyła wobec cywilizacji europejskiej, znalazły odgłos w świecie. Jakże nie westchnąć wtedy i dziś...

Aza nie wiecie, że hetman, a bardzo wielki poległ dziś w Izraelu... (Księga II Król. 3.38.). Dawid do ludu, gdy zginął Abner, wódz izraelski.

Kazimierz Ivosse

Wyprawa
w świat legend

Mariola Jarocka to znana, współczesna pisarka dla dzieci. Jej książki znajdziemy w każdej bibliotece i każdej księgarni. Jest członkinią Oddziału Dolnośląskiego Związku Literatów Polskich, a także prezesem Wrocławskiego Oddziału Stowarzyszenia Autorów Polskich. Jej najnowsza książka „Legendy polskie” jest wędrówką w świat tradycji i historii naszego kraju.

Na początku książki, na wewnętrznej okładce znajduje się mapa Polski z podziałem na szesnaście województw. Jest to zapowiedź jej treści. Jak się przekonamy, czytając dalej, każde z województw ma tu swoją legendę. Każda zaś legenda jest poprzedzona krótką informacją o województwie, które prezentuje. Pod spodem zaś wymienione są zabytki tego województwa, parki krajobrazowe i obiekty godne zobaczenia. Obok tej informacji znajduje się obrazkowa mapa województwa z narysowanymi obiektami polecanymi w informacji.

Wielorakość i wielobarwność legendarnych opowieści wpływa bardzo na jakość książki. Znajdziemy tu między innymi takie znane legendy jak ta *O toruńskich piernikach*, *O smoku wawelskim*, *Jak powstała nazwa Warszawa*, czy też *O Piaście Kołodzieju*.

Są tu jednak i mniej znane czytelnikom teksty legend takie jak legenda wrocławska *Mostek pokutnic*, albo lubuska *O nazwie Sławskiego Jeziora*, czy też opolska *O opolskim herbie*, warmińska, *Skarb na olsztyńskim zamku* lub zachodniopomorska *Krawiecka Baszta*.

Jedną z piękniejszych i wzruszających legend jest podlaska opowieść *Wigryna i Fabian*.

Opowiada o wielkiej, niespełnionej miłości nad jeziorem Wigry i pokazuje piękno przyrody tamtych terenów. Inną, równie działającą na wyobraźnię czytelnika legendą jest ta *O gdańskiej Madonnie*, która także

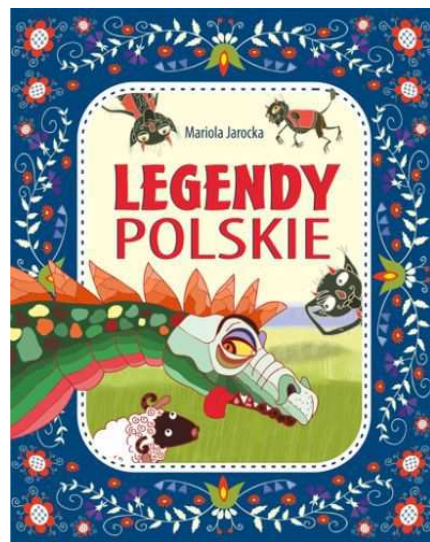
wzrusza, opowiadając o wiernej miłości, i niepełnionej winie, jak również sprawiedliwości, której stało się zadość. Bardzo ciekawym tekstem jest legenda *Jak na Księżym Młynie bies maszyny wymyślał*. Dotyczy ona tych lat, kiedy pracę ludzi zaczęły zastępować maszyny, a oni tracili swoje stanowiska. Tę niedolę przypisywali siłom nieczystym i próbowali z nimi walczyć. Na próżno jednak. Bies, któremu było na imię Węsad, miał się dobrze. Legenda bowiem kończy się słowami: „A Węsad? Cóż, ludzie powiadają, że pracował w fabryce do końca, zbijając fortunę, która nie miała sobie równych.”

Utwory te, co ważne, napisane są prostym, a zarazem nieco stylizowanym językiem. Pokazują małym odbiorcom różnorodność polskiej tradycji. Uczą naszej historii i służą utrwalaniu w najmłodszym, polskim pokoleniu tożsamości narodowej. Są cenną skarbnicą wiedzy o naszej kulturze, historii i odrębności na tle innych państw Europy.

Pod koniec książki znajdują się pytania dotyczące treści legend. I jest to ze wszelkich miar słuszne, ponieważ czytelnik może sprawdzić, czy przeczytał tekst poprawnie i dobrze go zinterpretował i zapamiętał.

Moim zdaniem nie powinno być jednak już na samym końcu książki odpowiedzi na te pytania. Nie mobilizuje to dziecka do penetracji tekstu, nie pogłębia procesu myślowego, a raczej uczy „drogi na skróty”.

Tym nie mniej książka jest wartościową, edukacyjną pozycją i bardzo potrzebną w dzisiejszym czasie, kiedy nasze polskie tradycje jakże często zastępujemy obcymi. Jestem przekonana, że pomoże ona dzieciom lepiej poznać Polskę, wraz z pięknem jej starej tradycji, co z pewnością wpłynie na kształtowanie w nich postaw patriotycznych.



Mariola Jarocka, „Legendy polskie”. Wydawca: Grupa Wydawnicza Foksal, Warszawa 2014.

Elżbieta Śnieżkowska-Bielak

Czy prawda i czytelnik poszukują gwałciciela?

(Dokończenie ze strony 11)

W *Kilku słowach o świadomości* podjęto zagadnienie grzechu pierworodnego, w *Dlaczego Ewa?* przywołano legendę (apokryf) o pierwszej żonie Adama-Lilith. W tekście *Ten, który pomieszał języki* poeta nawiązuje do wieży Babel, lecz nie przekonuje go obowiązująca interpretacja tytułowego gestu Boga jako kary, w odróżnieniu od potopu zesłanego za upadek moralny ludzkości. *Coś złego?* to rzecz o niepokalanym poczęciu i dziewictwie Marii Panny. W *Pierwszych zdarzeniach* przedmiotem zastanowień są sakramenty: Pierwsza Komunia Święta, bierzmowanie. Ta religijna aura dotyka w którymś momencie również postrzegania przez Janusza Orlikowskiego natury pisarstwa: „Jestem człowiekiem, ale moje wiersze są mi podległe, są moimi stworzeniami. Jestem ich stwórcą, a chrześcijanin by powiedział odwrotnie z czym wobec Nieznanego, Absolutu należy się zgodzić” (s. 77).

W sposób niezobowiązujący, na prawach exemplum, wynotujmy passusy o charakterze gnomy: „Autorytet to uznanie, prestiż, oparte na cenionych wartościach. [...] Autorytet jest więc nośnikiem wartości poza wiarą i władzą. [...] Świat współczesny to wiara lub władza. [...] Autorytet wymaga wiedzy, a ta niechętnie przyjmowana jest, gdy ma się władzę” (s. 16-17); „każdy człowiek jest indywidualnością w swoim «ja». Cała dobra literatura o miłości na tym stoi”.

Poeta w szkicu *Wokół czasu*, wychodząc od dywagacji i immanentnej dysputy o kategorii czasu (w konsekwencji: przemijania, śmiertelności człowieka i pragnienia zaświatów), konkluduje: „[religia chrześcijańska] Czasowość zastępuje wiecznością, a Bóg jest wiecznie trwającą aktualnością” (s. 41). W chwili, gdy przedmiotem pisarskiej wiwisekcji staje się odczucie czasu przez dziecko, autor „wpuszcza” do eseju swoje życie: żonę Barbarę, 8-miesięcznego syna Łukasza, który po kilkudniowej nieobecności rodziców na ich widok kryje się w ramionach babci. Zacięcie prozatorskie odkrywa przed czytelnikiem (celowo bądź przypadkiem) w tych partiach tekstu, gdzie opisuje swoje doświadczenia pacjenta szpitala onkologicznego. Po krótkiej rozmowie z pielęgniarką, bohater dostaje pozwolenie na wyjście z budynku: „Powietrze. Chodziłem i dotykałem liści krzewów, liści drzew i ich konarów. Ostrożnie, delikatnie jakbym nie chciał im tym zrobić krzywdy, jakbym widział je pierwszy raz. Lewą rękę wzniosłem wolno ku górze i gdyby była nieco dłuższa dotknąłbym nieba i gdzieś tam białych obłoków. Była we mnie nieopisana radość. Radość bez pytań o jutro. W ogóle mnie nie interesowało kiedy wyjdę ze szpitala. To było poza mną, ważny był dotyk Daru życia” (s. 48-49).

Im bliżej umieszczonego na końcu książki spisu treści, tym prezentacje Janusza Orlikowskiego stają się bardziej osobiste i intensywniej

nasycone tkanką literacką (autor-eseista przeraża się w autora-pisarza) czy nawet autobiograficzną. Dowiadujemy się wtedy więcej o życiu autora, nie tyle o tym, co myśli i sądzi, lecz kim jest, w jakiej porusza się przestrzeni: absolwent politechniki, magister inżynier technologii budowy maszyn, nauczyciel matematyki w gimnazjum („Mój czas na twórczość to poranek i godziny przedpołudniowe. Godzę to z funkcją belfra”, s. 181), mieszkaniec Dobrodzienia na Opolszczyźnie, gdzie posiada działkę przy ulicy Gładysza, turysta odpoczywający w Tunezji („retrospekcja z tunezyjskiego urlopu”, s. 207). Bohater doświadcza własnej odmienności w relacjach ze światem: „To ciągle poczucie oddzielenia, braku zakorzenienia, które towarzyszy mi odkąd pamiętam. Kontakty z rówieśnikami podsyte zawsze tym samym tłem – ty, czyli inny. Inny, czyli kto?” (s. 177).

Zapisana na niecałej stroniczce numer 180 w tekście *Czy to na niby?* anegdota związana ze spotkaniem z kolegą, poetą Ryszardem Sidor-kiewiczem, każe mi widzieć w Januszu Orlikowskim przyszłego autora książki jaskrawo wspomnieniowej, gdzie będą dominowały obrazy, scenki rodzajowe (między innymi o środowisku literackim, rozmowach przy kieliszku wódki, filizance kawy z innymi, mniej lub bardziej znanymi twórcami), które w *Gwałcie na prawdzie*, mimo iż występują w ilościach śladowych, nie waham się nazwać solą tego tomu. Jakże odmienia się szkic *Co słychać w mieszkaniu za szybą?*, gdy narrator pozwala przemówić małżonce, komentującej modlitwy płynące pięć razy dziennie z meczetu: „modlą się pięć razy w ciągu dnia, więc mają słońce” (s. 200). Uwagę zatrzymuje relacja: „Tu, na mostku nad rzeką Mysłinką odnajduję bogactwo ludzkiego bytu. Dzikie kaczki płyną, tak jak płynąć powinny, słońce późną jesienią dopiero zbiera się do tego, aby nadać ziemi promieni” (s. 204).

Na wirtualny zbiór mogłyby się złożyć pozabawione balastu krytycznego wrażenia z lektur czy zdarzeń, ulotne notatki zasysające przebyłski, które rodzą się czasem z kontaktu z bytem „tu i teraz”. Z notatką o dawnej lekturze wiersza *Miłość szczęśliwa* Wisławy Szymborskiej mamy do czynienia w wyimku: „Pamiętam jak sporo lat wstecz czytałem pierwszy raz ten wiersz. Był jak olśnienie. Jakby czas w tym czasie nie istniał”.

Niczym zapis w metafizycznym dzienniku szpitalnym brzmi z kolei początek tekstu *Mój daimonion*, w którym krytyk dzieli się z czytelnikami doświadczeniem z obcowania z osobą nieziemską, co po trosze tłumaczy stanem pooperacyjnym i działaniem morfiny: „Leżała obok mnie, gdzieś w odległości jednego metra, na boku z głową wspartą na dłoni. Postać jakby z biało-siwej porcelany, taka niby figurka lecz rozmiarów – połowa dorosłego człowieka” (s. 51). Chciałbym podkreślić i to, że autor, urzeczony filozofią starożytnych, odwołuje się właśnie do daimonionu: „głosu kierującego jego [człowieka] duszą [...]. Z greckiego istoty boskiej, ducha opiekuńczego” (s. 53), chociaż zadaje pytanie „czyżby [...] opisana przeze mnie postać mogła nie być duchem opiekuńczym, a tylko

radością szatana, pisząc kolokwialnie?” (s. 54). W głębi książki traktuje wspomniane zjawisko jako pomocnika: „Banałem jest pisać, że miłość jest daniem. Każdy to rozumie na swój ziemski sposób i w rezultacie nic nowego. Szukam więc słów, które by były odpowiednie do tego co zamierzam. Czy pomoże mi mój daimonion?”.

Pisarz z Dobrodzienia szczerze cytuje Wisławę Szymborską, Zbigniewa Herberta, przede wszystkim zaś Czesława Miłosza, w stosunku do którego jakby mimochodem, na marginesie definicji pisarstwa Alberta Camusa, pozwala sobie na emocjonalny zaimbek dzierżawczy „nasz”: „Albert Camus był zawsze niezwykle szczery w swej twórczości. Tylko tak wyobrażał sobie pisanie, prawdę i życie. Nie bez powodu fascynowała go, podobnie jak naszego Czesława Miłosza, Simone Weil” (s. 36). Nie jestem jednak admiratorem chwytu posilkowania się, dla uzasadnienia swoich wywodów, autocytatem, urywkami własnych wierszy, co często zdarza się Januszowi Orlikowskiemu, ale tę uwagę należy potraktować w kategoriach innego rozumienia przeze mnie roli tekstu esejistycznego w życiu poety, prozaika.

Autor w wielu utworach wskazuje impuls do napisania tekstu, którym może być absurdalna sytuacja, gdy spostrzega, że internetowy link w słowie „Ciało” ze zdania „Bierzcie, to jest Ciało moje” prowadzi wprost do recepty na zrzućcie paru kilogramów (*W tajemnicy wiary*). W szkicu *W odniesieniu do, czyli postawy* czytamy wprost: „Szczegół, takie choćby przypadkowe spotkanie z sąsiadką przed blokiem podczas powrotu od lekarza może stać się motorem do porannych przemyśleń dnia następnego” (s. 135). Ale w *Tam rozważania o Sądzie Ostatecznym* (piekle, czyśćcu i niebie) zostały pobudzone dwuwierszem umieszczonym na pomniku nagrobnym na cmentarzu w Łagiewnikach Małych: „Ty nie przyjdiesz już do nas / to my do Ciebie przyjdziemy” (s. 83).

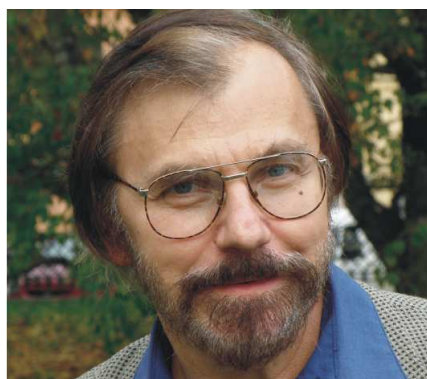
Chciałbym również zatrzymać się nad pewnymi inicjacjami szkiców. Wyczuwamy, niespełnioną w samym tekście, zapowiedź kryminalną: „To było gdzieś dwie godziny przed Nowym Rokiem 2011” (s. 155), „To było tuż po świętach wielkanocnych, gdy zdecydowałem się na ten «krok»” (s. 159); „To było na plaży, nad brzegiem średniego jeziora spośród trzech turawskich mieszczańskich się niedaleko Opola z jednej, a Dobrodzienia z drugiej strony” (s. 183).

Najnowsza publikacja Janusza Orlikowskiego ma też swoją dosłowną wagę; ponieważ wydrukowana została na 240 stronicach kredowego papieru, jej ciężar jest jawny. Poza tym *Gwałt na prawdzie* pachnie: rodzaj użytego celulozowego arkusza emituje swoiste feromony nie tylko znaczeń, ale i farby drukarskiej, w związku z czym czuję się otumaniony (czytaj „zgwałcony”) podwójnie.

Arkadiusz Frania

Janusz Orlikowski, „Gwałt na prawdzie. Eseje i szkice”. Instytut Wydawniczy „Świadectwo”, Bydgoszcz 2014, s. 240.

Listy do Pani A. (77)



Obrotowe tango i inne hołubce

Kochana Pani!

To już ostatni miesiąc roku, ale Warszawska Jesień Poezji, która skończyła się dosyć dawno, jeszcze żyje w pamięci. Nie zdążyłem poprzednio napisać Pani o znakomitym recitalu Joanny Rawik, którego mieliśmy przyjemność wysłuchać. Aż było żal, że dobiegł końca. Co za głos, co za precyzja wykonania! Na zakończenie artystka kilku szczególnie zaprzyjaźnionym osobom publicznie wręczyła swoją wspomnieniową książkę „Muzyka życia”. Znalazłem się w tym niewielkim gronie. Dostałem ją z następującą dedykacją: „Dla Stefana Jurkowskiego z wiecznotrwałą przyjaźnią – Joanna Rawik, jesień 2014”. Był to niezwykle przyjemny i serdeczny gest.

Następnego dnia recital miał Bogdan Łazuka wraz z Czesławem Majewskim, który towarzyszył mu na fortepianie. Łazuka śpiewał piosenki z dawnego swojego repertuaru, których wysłuchałem z sentymentem.

W ogóle tegoroczna Warszawska Jesień Poezji należała do bardzo udanych. Wszyscy byli zakwaterowani w Oborach, dawnym pałacu Potulickich, od czasów powojennych będącym Domem Pracy Twórczej przeznaczonym dla literatów. Leszek Żuliński i Andrzej Zieniewicz mieli ciekawe referaty na temat strumienia świadomości oraz strumienia nieświadomości w poezji. Czy strumień świadomości poezję racjonalizuje i nie niszczy wpływając na jej spontaniczność? A strumień nieświadomości wprowadza może dowolność i powoduje chaos i nieźborność wiersza? Nie dało się tego definitywnie rozstrzygnąć, zresztą nie taka była intencja prelegentów. Ale cel został osiągnięty, nastrój robił się coraz bardziej rozrywkowy. Irenka śpiewała „Oborowe tango...”, parafrazując „Obozowe tango”. Było wiele piosenek, łącznie ze znanym pytaniem do górala, czy mu nie żal. Bawiliśmy się w układanie fraszek sytuacyjnych. Niektóre, co lepsze, zapisywała Grażynka Grabowska. Bawiliśmy się świet-

nie.

Żal było wracać do Warszawy. Czekala nas jeszcze w Klubie Księgarza promocja almanachu Warszawskiej Jesieni Poezji – „Miejsce urodzenia Warszawa”. Czy ma Pani tę książkę? Promocję w sposób dowcipny prowadził Ryszard Ulicki, autorzy czytali swoje wiersze, nawet dużo osób przyszło, a mnie się wydawało, że widzę Panią na sali. Mam więc nadzieję, że zna Pani mój wiersz, i nawet się Pani podoba.

Klub Księgarza to – jak się teraz określa – „magiczne miejsce”. Coś w tym jest. Zawsze przychodzi tam dużo ludzi. Tak było na promocji Warszawsko-Jesiennego almanachu, ale jeszcze więcej osób przyszło na promocję wspomnień Zbigniewa Irzyka „Bywało zabawnie”. Leszek Żuliński miał bardzo ciekawe wprowadzenie, fragmenty czytał Andrzej Ferenc, a Zbyszek dowcipnie i ze swadą opowiadał o artystach z pokolenia Współczesności. Już pisałem Pani, że ta książka jest pasjonującą lekturą. Czyta się ją jednym tchem.

Nie minęło wiele czasu, i trzeba było jechać do Poznania na Międzynarodowy Listopad Poetycki. Oczywiście, pociągami. Tegoroczny festiwal był wyjątkowo udany. Pierwszy dzień, po uroczystej inauguracji oraz maratonie poetyckim spędziliśmy w Szamotułach. Bardzo ciekawe było zwiedzanie zamku Górków, słuchanie prelekcji o jego historii, obejrzenie muzeum ikon, które robiło wielkie wrażenie. Najstarsza Ikona pochodziła z XVII wieku.

W drugim dniu pojechałem do Konina z Pawłem Kuszczynskim w towarzystwie Kazimierza Burnata, Nguyena Chi Thuata, Wietnamczyka mieszkającego w Poznaniu, polonisty oraz Andrzeja Waltera. Z Konina rozwieźliśmy nas do różnych miejscowości, ja trafiłem do Sompolna. Pojechałem tam wraz z Henrykiem Janaskiem z konińskiej Miejskiej Biblioteki.

To było świetne spotkanie, zebrana młodzież uczestniczyła w nim aktywnie, a kiedy się już wszyscy rozchodzili podeszła do mnie uczennica i podziękowała za spotkanie, które się jej – jak mówiła – bardzo podobało. Widać było, że to młoda osoba wrażliwa, miłośniczka poezji. Świadczyła o tym jej reakcja zupełnie spontaniczna.

A z Konina do Poznania wracaliśmy wszyscy samochodem z Pawłem Kuszczynskim. Paweł bardzo dobrze prowadzi, można się z nim czuć zupełnie bezpiecznie. Ale ruch duży, idiotów na drodze nie brakowało, a szosy oraz ich oznakowania raczej do pewnej części ciała, na którą oglądać się podczas jazdy nie należy...

W Pałacu Działyńskich promocja antologii polskiej poezji przełożonej na język niemiecki. Bardzo uroczyste i efektownie wypadła ta impreza, niektórzy autorzy – znalazłem się wśród nich – czytali swoje wiersze, a obecna w Poznaniu tłumaczka przedstawiała je w wersji niemieckiej. Były one także wyświetlane na ekranie.

Ledwo wróciłem do Warszawy czas był na „Bibeloty”. Tym razem gościem „Poezji na Willowej” była Krystyna Gucewicz. Miałem tremę podczas omawiania jej poezji, bo chciałem, aby autorka była zadowolona. Tak też się stało, więc trema okazała się niepotrzebna. W pewnym momencie Krysia posłużyła się moim wierszem. Przeczytała w całości utwór „Rada” ze „Studni Andersena”. Tego się nie spodziewałem. Przyznam się, że moje ego było mile polechtane. Całe

spotkanie wypadło nadzwyczaj ciekawie. Niestety, w tym roku ostatnie, a następne – o ile dojdą do skutku – zaczniemy pewnie najwcześniej od lutego.

Potem dalszy ciąg tej mojej społecznej działalności. Prowadziłem w „OKU” spotkanie z Andrzejem Olasem. Tym razem była to saga rodzinna połączona z osobistymi wspomnieniami. Świetna książka, ilustrująca losy nie tylko jednostkowe, ale zarazem całego narodu. Ciekawie napisana, niezwykle starannie i szczegółowo udokumentowana, jeśli chodzi o dzieje rodziny pokazane na tle wydarzeń historycznych. Znamienity jest tytuł: „Jakże pięknie oni nami zarządzili! Czyli jak cesarze, carowie, faszyci i komuniści obchodzili się z moją rodziną”. Czyta się to świetnie. Autor zaprasza czytelnika do udziału w tej historycznej wędrówce; do udziału w niemal detektywistycznej penetracji w poszukiwaniu najdrobniejszych faktów, które potem będzie można ułożyć w logiczną całość.

Pisałem już Pani wcześniej o literackim kwartalniku „LiryDram”, który redaguje Marlena Zynger wraz z zespołem. Ukazał się piąty numer, i z tej okazji znowu spotkaliśmy się na jego promocji w kawiarni „Antrak”. Tym razem bohaterem numeru był Aleksander Nawrocki. Te spotkania mają charakter wybitnie artystyczny. Zawsze jest oprawa muzyczno-wokalna, autorzy czytają wiersze zamieszczone w aktualnych numerach. Czytałem również, a Marlena zacytowała akapit z wywiadu, którego udzieliłem dla kwartalnika Zbigniewowi Milewskiemu.

Następnego dnia już zaczął się Festiwal Poezji Słowiańskiej, który od lat organizuje Aleksander Nawrocki. Było duże spotkanie z gośćmi zagranicznymi w Domu Polonii, a następnego dnia w Muzeum Literatury prezentacja poetów polskich. Wiersze interpretowali poetka Katarzyna Nazaruk oraz Janusz Guttner, aktor i poeta przybyły z Londynu. Ważne jest to, że te festiwale Nawrockiego są nie tylko ponad podziałami politycznymi czy ideologicznymi, ale ponad osobistymi animozjami. Tu poeci muszą się dostosować do ogólnej, przyjacielskiej atmosfery, wyciszyć emocje negatywne. Jestem przekonany, że była Pani na tych wszystkich imprezach. Ulegam złudzeniu? Ale jakże pięknie!

A teraz jeszcze napiszę o zdarzeniu nieliterackim. Otóż w schronisku, z którego wzięliśmy Iskłę, mieszkała też jej rodzona siostra, która cztery miesiące wcześniej znalazła dom. Wiedziałem, że zamieszkała niedaleko nas, ale nie wiedzieliśmy gdzie. Aż dopiero teraz, zupełnie przypadkowo, Ania spotkała ją na ulicy razem z jej panią. Od słowa do słowa okazało się, że to istotnie ta siostrzyczka, zresztą „rysopies” się zgadzał (znaliśmy ją ze zdjęć na facebooku), data urodzenia, schronisko. Teraz siostrzyczka nazywa się Kropka. Już kilkakrotnie były razem na spacerze. Wygląda na to, że się zaprzyjaźniły, jak przystało na rodzeństwo.

I tak Iskra dostała, w pewnym sensie, prezent gwiazdkowy w postaci psiej rodziny.

Ani się obejrzelśmy, jak Święta tuż, tuż, a Nowy Rok podchodzi do naszych drzwi. Co przyniesie? Oby tylko to, co Panią i nas wszystkich uszczęśliwi. Tego Pani z całego serca życzę i pozdrawiam gorąco!

Stefan Jurkowski

Rozmyślania



Obiektywna narracja

Magdalena Środa w swoim felietonie pt. „Biała plama”, opublikowanym na stronie wyborcza.pl, dosyć mocno rozprawia się ze stanem umysłowym polskiego piekła, zagnieżdżonego w nieprzebranych pokładach narodowej głupoty. Ale czy to tylko zwykła głupota wychodzi z nas? Czy może składają się na to czynniki znacznie poważniejsze, bo najnowsza historia Polski staje się pomalą białą plamą wysaną przez jedynie słuszną interpretację. Powstanie warszawskie i „żołnierze wyklęci” wydają się jednym elementem „właściwej” historii, a wybór papieża i wyzwolenie działań Ducha Świętego oraz „Solidarności” braci Kaczyńskich – drugim. Pośrodku nie ma prawie nic lub jest piekło, o którym nie trzeba pamiętać, tylko z premedytacją zapomnieć... – pisze profsorka.

ANDRZEJ DĘBKOWSKI

Niestety, tak się dzieje, że właśnie ten sposób myślenia przypomina notabene czasy stalinowskie – ciągnie dalej Magdalena Środa – w których wszelkie zło (np. prostytutki, kradzieży, prywaty) tłumaczono albo przeżytkami starego systemu, albo nieszczelnością granic, przez które przeciskały się burżuazyjne miazmaty zanieczyszczające anielską atmosferę zdrowego socjalizmu. Czasy inne, myślenie jakby to samo. Nie ma dziś co prawda granic, ale cały czas żyją ci, którzy są „skażeni” PRL. Nawet umarłym trzeba to wypominać. Prawicowi samorządowcy dbają o to ze szczególną pieczołowitością, wymazując z map miast nazwy ulic, które wiążą się z historią PRL. Wielu, unosząc się jedynie słusznym patriotycznym gniewem, chce burzenia pomników przypominających o tym, że przez Polskę szły radzieckie wojska lub że ta Polska cieszyła się odbudową kraju, nawet jeśli nie był on całkowicie wolny.

Nie znosiłam PRL, zresztą jak wielu. Pałam młodzieńczą wściekłością, widząc grozę stanu wojennego, a wcześniej szarość i beznadzieję życia codziennego. Ale to nie była czarna dziura! To nie była kondensacja wszelkiego zła. A linie podziału na ludzi przyzwolonych i tchórliwych nie wiązały się z posiadaniem lub nieposiadaniem legitymacji partyjnej.

Jak to było naprawdę z tą okupacją sowiecką powojennej Polski? Wyśmiewanie PRL-owskiego cyrku „w okupowanym przez Rosjan” kraju (nawet na ekranach oficjalnej telewizji) było tak powszechne, że nawet ówczesne władze machnęły na nie ręką. Stosunkowo dużej, jak na tamte czasy, swobody słowa i bogactwa życia kulturalnego mogły nam pozazdrościć nie tylko pozostałe „baraki” obozu socjalistycznego. Walka PRL-owskiej cenzury z tzw. literaturą drugiego obiegu przypominała walkę z wiatrakami. Większość parlamentarzystów dzisiejszej RP posiada dyplomy i tytuły naukowe zdobyte na „komunistycznych” uczelniach, na które dostała się na fali tzw. „awansu społecznego” z pomocą „punktów za robotniczo-chłopskie pochodzenie”, do czego jednak żaden z nich już się nie przyzna.

Wielu z tzw. „represjonowanych” robiło w PRL-u karierę naukową. Tworzenie mitów i przeginanie historii to w jedną to w drugą stronę, na zamówienie kolejnych elit politycznych, oportunistycznie wpisujących się do zmieniających się kontekstów geopolitycznych stało się w III RP akceptowaną i powszechnie stosowaną praktyką. Nawet – z założenia niezawisła – instytucja jak IPN ulegała naciskom politycznym. Nasze młodsze pokolenie jest gotowe uwierzyć, że przed 1989 roku czekaliśmy na zagładę w gettach albo obozach koncentracyjnych, w atmosferze masowych ulicznych łapanek – zdejmując czapki przed patrolami żołdaków sowieckich. Nie zdziwię się, gdy za kilkadziesiąt lat podręczniki opiszą braci Kaczyńskich jako członków walczącego podziemia, którzy rzucali butelki z mieszaną zapalającą na tanki z czerwoną gwiazdą. Nie chcę umniejszać naszych cierpień i upokorzeń w PRL-u: słuchanie tej głupawej PZPR-owskiej nowomowy, karmienie nas przyprawiającą o mdłości propagandą z jednoczesnym zagłuszaniem Radia Wolna Europa i Głosu Ameryki, nieustanne kolejki, strajki o zniesienie podwyżek cen, smród gazu łzawiącego. Nie sposób zapomnieć o tych okrutnych, ciągnących się bez końca nocach godziny milicyjnej, które mniej więcej od sierpnia 1982 roku zaowocowały niespotykanym w historii Narodu Polskiego przyrostem naturalnym... ku wielkiej ucieście Kościoła. Te 45 lat okupacji radzieckiej przetrwaliśmy kosztem wielu wyrzeczeń: brakowało kielbasy, papierosów, papieru toaletowego... ale w tym PRL-owskim aborcyjnym raju jakoś nigdy nie brakowało dzieci.

Czy kogokolwiek w ówczesnej Polsce martwiła niedostępność na półkach księgarskich np. „Folwarku zwierzęcego” czy „1984” Orwella? Podejrzewam, że żaden z – wyprostowanych na baczność przed flagami EU, USA – polskich prezydentów nigdy nie trzymał tych książek w ręku. Zapytajcie Ojców i Dziadków

co podczas słynnych Grudniów i Sierpniów było sprawą bardziej aktualną i ważniejszą: wolność słowa czy tańsza kielbasa? Zróbcie to, proszę, zanim świadectwo pokolenia „50-latków plus” na wieki wieków zostanie wymazane z naszej naszprycowanej do granic absurdu heroiczno-martyrologicznym testesternem Narodowej pamięci...

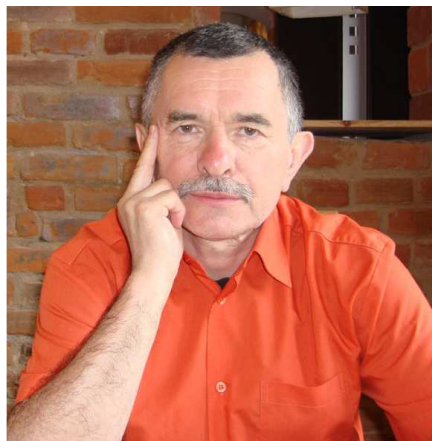
Dzieje się tak ponieważ na początku w trudnych czasach transformacji ze względów politycznych zohydowano tamte czasy, żeby nikomu nie przyszło do głowy chcieć do nich wrócić. Potem z oportunistu, a teraz... bo pamiętający odchodzą, a młodzi nie pamiętają, znają tylko narrację z pierwszego okresu przemian. Przestrzeń historyczna została opanowana przez ludzi o mentalności bolszewickiej, oczywiście przekonanych, że są antykomunistami. Książd Tischner mówił o nich *homo sovieticus*, zmienił się ustrój, ale ta mentalność w nich pozostała. Narzucili swoją wizję polityki historycznej, w której jest tylko jedna prawda... ich prawda nawet wbrew faktom. Dla nich, jak za czasów stalinowskich, wszyscy muszą mówić i myśleć tak samo. Ludzie, którzy myślą inaczej w najlepszym wypadku nie są patriotami, to zdrajcy, komuniści, esbecy lub rusey agenci. W mediach funkcjonują dziennikarze młodego pokolenia z ładnymi buziąmi, ale bez wiedzy i szerszych horyzontów, mówiący jednym pożądanym przez propagandę głosem, gdyż sami nie mają nic do powiedzenia „od siebie”. Należę do ludzi, którzy pamiętają PRL i nie wróciłoby do niego, ale dzisiejsi bohaterowie opozycji opowiadający o terrorze PRL-owskim w większości w tym okresie spokojnie pracowali, studiowali, pisali prace doktorskie... a nawet byli wykładowcami na uczelniach.

W moim osobistym „Instytucie Pamięci Narodowej” za PRL-u większość narodu nie myślała o obalaniu komuny, tylko o tym, żeby się w niej jakoś urządzić, ewentualnie stąd zwać. Dzisiaj ciągle patrzymy na Polskę z perspektywy Warszawy. Wielu mówi, że PRL był całkowicie szary i beznadziejny. Tak było, ale w latach 80., bo nasi dzisiejsi „sojusznicy” poobkładali nas najrozmaitszymi embargami i nie było za co i czym wykarmić ochoczo robionych dzieci. Ale dziesięciolecie Gierka było szare? Bynajmniej. Były to czasy idealne dla młodych profesjonalistów, rewelacyjne dla znających języki, oczywiście biorąc pod uwagę wszystkie proporcje i to, że samochody wtedy inaczej wyglądały i nie było iPadów. Ale setki tysięcy Polaków zobaczyło świat i zachciało zmian. Wścieka mnie gloryfikowanie różnych „żołnierzy wyklętych”, często zwykłych bandziorów uciekających przed strykiem za mordy w czasie wojny i zaraz tuż po niej. Szlag mnie trafia, gdy widzę Rondo bandyty albo ulicę zdrajcy. Ale cóż, miliony Polaków pracujących w pocie czoła dla swojej ojczyzny po II wojnie to „komuniści”... Kłamstwo lejące się z telewizorów, głoszone przez 30-latków „znawców”, obiektywizuje się i tego już się nie odwróci. Narzucili swoją wizję polityki historycznej, w której jest tylko jedna prawda, ich prawda, nawet wbrew faktom. Dla nich, jak za czasów stalinowskich, wszyscy muszą mówić i myśleć tak samo. Ot, takie czasy... Podobno...

JÓZEF BARAN

Przystanek Marzenie (52)

(fragmenty)



Niespodziewany telefon od Ewy Dąkowskiej, znanej mi m.in. z głównych ról w filmie *Kobiety z prowincji* czy z *Procesu Gorgonowej*, że koniecznie chce zaśpiewać mój wiersz *Taniec z ziemią*, który znalazła rok temu opublikowany w „Rzeczypospolitej”. Przyjechała na parę dni do Krakowa, bo gra w sztuce *Tango Piazzolla*. Na drugi dzień zjedliśmy obiad zakrapiany wódką w „CK. Dezerterzy”, razem z jej mężem Tomaszem Miernickim, producentem filmowym (m.in. *Nocy i dni*), który nie gardzi dobrym jadem, napitkami i lubi pofilozofować o Bogu i diable. Już dawno tak się nie naśmiałem, gdy opowiadał, ile razy wódka ratowała mu życie i jak przekonywał o jej zbawiennym działaniu księdza na koledzie.

Fantastyczne popołudnie. Poczucie nieograniczonej lekkości i swobody w rozmowie. Po czterech godzinach żegnaliśmy się jak starzy przyjaciele, choć wcześniej w ogóle się nie znaliśmy. Przypomniały mi się dawne czasy i pomyślałem, że żyję teraz jak zakonnik. Poza tym, cholera, zawsze miałem w Warszawie więcej ludzi, z którymi się rozumiałem, niż w tym zapyziałym, zarozumiałym, mieszczańskim, krakowskim grodzie.

Ale na drugi dzień pomyślałem, że jednak co Kraków, to Kraków! Tu nawet bezdomni kłoszardzi interesują się poezją. Na moich warsztatach literackich w Śródmiejskim Ośrodku Kultury zjawiał się Bezdomny. Bezdomny kupił bilet za 5 złotych i ostro spierał się, twierdząc, że to on, wolny człowiek, jest poetą, a nie my „spętani normami społecznymi”. Mieszkał przez lata w Nowym Jorku, trochę w Meksyku, a teraz przemieszcza się z klatki schodowej na klatkę. Interesuje się poezją francuską, czytał nawet moje teksty w ostatniej „Twórczości” oraz „Wierszowiska” w „Dzienniku Polskim” i uznał, że „to wszystko śmieszne”. Nie dałem się mu jednak sprowokować, więc w końcu przyznał, że potrafię w poezji odróżnić ziarno od plew, a

wiersze w „Twórczości” były piękne. Wysoki, postawny, wybuchający nerwowym śmiechem, który przypominał mi śmiech Janka Rybowicza.

Zapytałem go, czy jest bezdomnym z wyboru czy z konieczności? Przyznał, że teraz z konieczności. – No to jakież pan wolny?

Tak czy owak w Krakowie nawet bezdomni bywają intelektualistami.

Oswajanie

czy uda mi się kiedyś
oswoić wiarę śmierć
tak
by jej zawierzyć
że jest tylko
grubą matową szybą
oddzielającą od Wieczności
za którą rozciąga się prawdziwe życie?

* * *

W „Wysokich obcasach” („GW”) z 12 stycznia 2008 duży artykuł o Ernie Rosensteinie, żonie Artura Sandauera, malarce i poecie, mojej dobrej znajomej, zmarłej w 2004 roku. Ostatni raz odwiedziłem ją rok przed jej śmiercią w Warszawie, gdy była już 90-letnią staruszczyką z zamkami pamięci.

Dopiero teraz zrozumiałem, dlaczego Erna – przy wulkanicznym Arturze – sprawiająca zawsze wrażenie bardzo stonowanej, a nawet wychłodzonej i nieobecnej (choć w gruncie rzeczy bardzo przyjazna i empatyczna), miała prawo być osobą, która niczemu albo prawie niczemu się nie dziwi. Skoro kiedyś na jej oczach szmalcownik zamordował w lesie pod Lwowem nożem kuchennym matkę i ojca, a ona sama uratowała się prawie cudem, uwalniając się z knebli, to co ją mogło jeszcze w życiu zaskoczyć, i czy nie ma podstaw, by zwątpić w Opatrzność?

Skoro przez pięć lat na skutek cudownych przypadków uchodziła przed śmiercią – w czym pomagał jej aryjski wygląd – tułając się w Warszawie pod różnymi nazwiskami, niekiedy nawet śpiąc na klatkach schodowych – to można zrozumieć, dlaczego odtąd wierzyła bardziej w przypadek niż w jakąkolwiek wyższą instancję sensu.

Oczywiście słyszałem od niej o tamtym strasznym okresie jej życia, ale dopiero teraz po latach – czytając artykuł – pojąłem z całą intensywnością, skąd ta tajemnicza cienista aura, która ją otaczała nawet w momentach, gdy żartowała. Kiedy napomykała przed laty o tamtej tragedii, zawsze zresztą zdawkowo, nie dochodziło to wtedy do mnie tak, jak powinno.

Czy oznacza to, że jesteśmy w stanie pojąć słowa i reakcje przyjaciół nieraz dopiero po latach, po ich śmierci, bo do zrozumienia bliźnich dojrzewa się niekiedy tak, jak do rozumienia książek? Inaczej czytamy je w młodości, inaczej w późniejszym wieku – z bagażem życiowych doświadczeń. Już nie mówiąc o tym, że nasze sądy o najbliższych

zmieniają się.

Teraz przy czytaniu jej opublikowanej po śmierci relacji, rzuciła mi się w oczy bezwzględność, z jaką jej skądinąd inteligentni i wykształceni rodzice poddali się podpowiedziom nieznajomego szmalcownika. Przekonał ich, że powinni z nim jechać pociągiem z Warszawy do jego znajomych na wsi, gdzie znajdą schronienie. I pojechali. Potem wiódł ich nocą przez las, a oni szli za nim jak lunatycy – na śmierć. Prawdopodobnie byli sparaliżowani strachem i bezradnością, jak większość Żydów wytrąconych w czasie apokalipsy ze swojej bezpiecznej orbity. Zachowywali się jak owieczki gnane na rzeź. Świat im się zawalił i gdy tracili wszystko, tracili także instynkt samoobronny.

Pomyślałem też jeszcze, że młodzi nie są w stanie zrozumieć starych, bo nigdy nie wczują się naprawdę w ich przeszłość, z której wynika terazniejsze zachowanie. Przyjaźniłem się z Erną, ale nie wiedziałem, nad jakimi przepaściami przerzuca swój bizantyjski uśmiech. Milczała tak sugestywnie, że czuło się, iż więcej wie, niż chce mówić. Wydawało mi się, że ją znam dobrze, a widziałem tylko czubek góry lodowej, o czym przekonuję się teraz, gdy dochodzi do mnie prawdziwy sens jej poruszającego wiersza o milczeniu:

Nie mogę zmieścić się w sobie
Ciasno.
Wnet pęknie mi głowa.
Tłukę się w klatce piersiowej.
Nogi mam bardzo ciężkie.
Ręce też nie są moje.
Wyjdę przez usta

Spotkanie ze starym znajomym. Długa rozmowa czyli jego monologi. Jest załadowany wiedzą jak tir z ogromnymi przyczepami, ale przez to jego kierownica mózgu nie ma żadnej skrętności, żadnej możliwości szybkiego przekakiwania z tematu na temat, ze skojarzenia w skojarzenie. Wali do przodu z długąnymi monologami, nie zatrzymując się. Przy pomocy różnych sztuczek usiłują go wybić z toru tej jednostronnej rozmowy, by zatrzymał się, skrzył w lewo, w prawo, na inny tor. Jest to niemożliwe. Za ciężki. Za mało zwrotny. Nie stosuje wobec swojej wiedzy żadnej selektywności. Jak zacznie mówić o jednym, musi wyczerpać do dna, do cna... cierpliwość słuchającego.

Bezsensowność
Oblazły mnie
Mrówki przeżyły
I objadają

Odwiedziłem mamę w Borzęcinie. Mama jest wbrew własnej woli jednym z najstarszych mieszkańców Borzęcina, więc wciąż powtarza: „Gdzie bym to ja się spodziała, że będę tak długo żyła” albo „Oj, nie życzę nikomu takiego długiego życia”.

cdn.

Trzy odstępny poety

W roku 2013 ukazały się w tym samym czasie trzy kolejne tomiki (a właściwie arkusze) utworów poetyckich krakowskiego poety **Jerzego Stanisława Fronczka**. Każdy z nich zawiera po około 15 wierszy ozdobionych fotografiami autorstwa poety. Są to w kolejności „Dom w malwy malowany”, „Rozmowy wśród Słowian” i „Czułość barbarzyńcy”. Motywami spajającymi te trzy publikacje jest podobna szata graficzna, ale i charakterystyczne dla tego autora formy wierszowania: „sonety mgielne”, „kapliczki”, „kantyczki” oraz ballady. Jako terminator, ale kontynuator pejzażu i klimatu poetyckiego Jerzego Harasymowicza, Fronczek buduje swe utwory w podobnym stylu, ale i poszukuje wspólnoty odczuwania z innymi pisarzami, piszącymi właśnie w analogicznym paradygmacie twórczy, w którym przyroda, środowisko polskiej wsi z lat powojennych, jak również historia ludowa i mitologia słowiańska silnie inspirują. Ostatnim elementem przyciągającym jego uwagę jest archeologia, szczególnie wykopaliska, w których w „pamięciach kamieni” jakby zapisana jest duchowość ludzi z poprzednich epok ich dziejowego egzystowania.

„Dom malowany malwami” rozpoczyna motto z „Ballady ludowej” Tadeusza Nowaka, a zadedykowany został Józefowi Baranowi. Pomieszczone tu wiersze to głównie sonety opiewające dom rodzinny na wsi, pośród kolorowych malw, na której bieda przeplata się z pięknem przyrody i rytmem pór roku rządzących trudem pracy rolniczej, wypożyczyniem, ale i świętowaniem ludzi, zakorzenionych w wiekowych, lokalnych tradycjach.

W utworze „Dom” czytamy: „Pachniało jabłkami, / rybą, skoszonym sianem / i niezapominajkami. // Przez szparę w oknie / widać było ogród / porośły deszczem. // (...) Topole szumiały nad rzeką, kryło się słońce / w rękawie nocy. // Śpiewała wilga, / a stary kozłak / odmawiał pacierz”.

Wiersze te wyłaniają się głównie z pamięci poety, ale i powstają wtedy, gdy w pieszej wędrówce odwiedza miejsca, które teraz wglądają inaczej, albo pozostały ruiny, przemarwiające swym wyglądem do duszy Fronczaka. Wtedy ożywają wspomnienia: garbatych chat, prac polowych, brzęczące pasieki ociekające miodem, ogrody pełne zapachów owoców i kwiatów, bezpańskie psy obszczekujące przy drogach wędrowców. Przychodzą z pamięci wspomnienia babki, dziadka, rodziców, sąsiadów, co poeta w utworze „Pieśń o domu” tak oto pointuje: „(...) I ręka szybko bierze piór / aby napisać kilka zwrotek. / Gdzieś nad Wisłoką czajki lecą / i wrota domu już zamknięte. // Nie mogę nawet zrobić kroku, / aby zobaczyć, kto tam mieszka. / Muszę samotność nieść w plecaku / i kilka zwrotek tego wiersza”.

Z kolei „Czułość barbarzyńcy” otwiera motto zaczerpnięte z utworu Andrzeja

Krzysztofa Torbusa pt. „Uspokojenie”. Pierwszy wiersz tu zamieszczony nosi tytuł „Teoria ewolucji”, a rozpoczyna go dłuższy cytat z „Jadąc do Babadag” Andrzeja Stasiuka, w który poeta zastanawia się jak to było z australopitekiem: czy przeczuwał, „że zostanie kiedyś / istotą rozumną zwaną / potocznie człowiekiem”. Kolejne wiersze stanowią jakby próbę przesłedzenia z punktu widzenia archeologii, szczególnie odkryć na wykopaliskach Europy, w których Fronczek jakby poszukuje granicy pomiędzy naszym barbarzyństwem i humanizmem, skupiając się refleksyjnie na „pamięci kamieni”, co w jego ocenie jest trudne do rozwikłania, a poeta może jedynie domniemywać. To jakby podróż do kulturowego „jądra ciemności” – powtarza z Józefem Conradem Korzeniowskim lub próba zatańczenia z Indianami, której chciał dokonać James D. Morrison – podkreśla z wycuciem sytuacji autor – uważając, że jest to „ptasi lot” duszy człowieka w poszukiwaniu granic naszej wolności. Pojawia się tu seria kolejnych „sonetów mgielnych”, w których poeta stara się wczuć w kulturę Celtyków, ale i Rzymian, przywołać ich bóstwa i towarzyszące im obrzędy, np. związane z kultem Wenus z Laussel. W duchu Byronowskim zamyka ten tomik utworem prowadzącym go ku „łowcom mamutów”, którzy zasiedlali dorzecza Jeniseju, Wisły i Renu w czasach pewnie jeszcze przedhistorycznych, zanim zasiedlili te krainy Słowianie.

Ostatni z tej serii tomik nosi tytuł: „Rozmowy wśród Słowian”, a otwiera go motto zaczerpnięte z „Psalmu o lecie” Tadeusza Nowaka, zaś całość jest poświęcona Andrzejowi Krzysztofowi Torbusowi i Pawłowi Jasienicy. Poeta stara się w formach „kapliczek” oraz „kantyczek” jakby zrekonstruować światy Słowian i Praszłowian, ich życie, wierzenia, np. w bogów: Świętowita, Peruna, Swarożycza, Łady, ale i litewskiego Kiejstusa, ale także stosunki plemienne, przypuszczając, że pozostałości tych wierzeń, kultów oraz form życia społeczno-kulturowego zostały wcielone do słowiańskiego chrześcijaństwa i po dziś dzień duchy tych ludzi jakby ożywają w wierzeniach i religiach ludowych nam współczesnych ludzi, stając się niejednokrotnie źródłem mitologii słowiańskiej, co pewien czas ożywającej w tej części Europy. W „Kantyczce z Czarnobyli” poeta pisze: Nad Ukrainą purpurowa zorza / chmury brunatne niczym tury chodzą. / Dniepr Świętowita ciemne wody niesie, / znad Czarnobyli przyszła do nas jesień. // Ostrzem jutrenki tnąc sumienie / kołacz pszeniczny zamienia cierpienie. / Kamiennym echem słowiańskiego boga / milczy zmęczona kamienista droga”.

Nie trudno zauważyć, że ten poetycki tryptyk zawiera w sobie jakąś wewnętrzną logikę, a poeta jako ten przysłowiowy trubadur stara się w swej doczesnej wędrówce po świecie znaczonej „śpiwnymi wierszami” pójść jeszcze pod prąd dziejom człowieka, by zobaczyć na ile nasza duchowość się zmieniła

i co w niej jest jeszcze obecne, co mogli stworzyć nasi słowiańscy przodkowie. Wysiłek ten pewnie wart jest uwagi, choć poetyckiemu dyskursowi daleko jeszcze do pełnej wiedzy o naszych korzeniach ludzkiej i słowiańskiej, która ze swej natury zawsze może się zmienić i ukazać jeszcze w innej perspektywie nasze egzystowanie nie tylko w Europie, ale i na planecie.

prof. Ignacy S. Fiut

Jerzy Stanisław Fronczek, *Dom w malwy malowany*, Kraków 2013, s. 18, J.S. Fronczek, *Czułość barbarzyńcy*, Kraków 2013, s. 18 i J.S. Fronczek, *Rozmowy wśród Słowian*, Kraków 2013, s. 18, fotografie, projekty okładek i skład – autor. Wydawca: Forum Myśli Filozoficzno-Ezoterycznej KARMA.

**DWUGŁOS O NOWYM TOMIE POEZJI
MARKA WAWRZKIEWICZA**

„Przegrałem, kiedy padał śnieg”?

Marek Wawrzekiewicz to poeta uznany, o dużym dorobku twórczym, acz niedocenianym przez krytykę. Nie przestał pisać wbrew wielu przeciwnościom losu, wręcz zajadłymi atakami z różnych stron po 89 roku. Należy podkreślić tę heroiczną postawę. Począwszy od debiutanckiego tomu *Malowanie na piasku* (1960) konsekwentnie tworzy swój własny liryczny świat, a dokładniej dopisuje kolejne strofy do utworów, którymi wówczas debiutował. Tak, gdyż, moim zdaniem, poeta pisze ciągle na ten sam temat, dopisując tylko nowe wersy do wcześniej opublikowanych. W młodości nie epatował wyobraźnią jak Bzdowski, nie zaperzał się obywatelsko jak Jerzyzna. Jednak od początku szedł własną ścieżką, modyfikując ją z każdym wydanym tomem. I doczekał się, jeśli nie uznania krytyki to czytelników, a to, moim zdaniem, rzecz bezcenna, właściwie najważniejsza.

W końcu, cóż dziś znaczy słowo poety, zawód poety?

W najnowszym tomiku pt. *Nawet Ty* Marek Wawrzekiewicz, o profesji, którą się zajmuje od przeszło sześćdziesięciu lat, tak pisze:

[...]

*Jestem wybitnym znawcą
Zagadnień marginalnych, ekspertem w dziedzinie
Problemów zbędnych, specjalistą od spraw
Niewartych zachodu. Cenią mnie nieudacznicy,
Uwielbiają pechowcy. Wspominają, myślą o mnie
I nabierają przekonania, że nie zmarnowali życia.
To wielka satysfakcja – być komuś przydatnym.*

(Dokończenie na stronie 18)

„Przegrałem, kiedy padał śnieg”?

(Dokończenie ze strony 17)

Znać autoironię, ale może i gorycz, bo w tomie jej nie brakuje, jak szczypty soli, by potrawa lepiej smakowała.

Od debiutanckiego tomu poeta porusza się w kategoriach eschatologicznych, przemijania, kruchości czasu, raczej nie buntuje się, nie wybiega myślą w przyszłość. Dogasanie. Rozpad. Nicość. Daremność. Ciemność. Starość. Noc. Śmierć. Mrok. Pleśń. Popiół. Cień... To słowa, które wynotowałem z *Nawet Ty*, ale te same lub podobne można odnaleźć w jego wcześniejszych tomikach.

Temat, którym zajmuje się wręcz obsesyjnie, to tzw. jesień życia (poeta pisze o niej bardziej elegancko), a zatem pora rozrachunków z samym sobą, z bliskimi, z przyjaciółmi i z wrogami, nawroty do przeszłości, wreszcie pora płacenia rachunków za swoje i nieswoje winy.

Najostrzejsze wiwiskcje to te na samym sobie, jak w tym fragmencie, wręcz wzorcowym dla poetyki Wawrzkiewicza:

*Mój Boże, jakież byłem wspaniale głupi,
Cudownie zadufany i fenomenalnie wątpięcy!*
[...]

*I użądliła mnie Bogu ducha winna pszczoła.
Spadałem na ziemię szybciej, niż to przewiduje
Prawo grawitacji. Mógłbym już wtedy pomyśleć,
Że ważne są symbole i znaki płynące z góry
Jak zapach kwiatów. Ale byłem za głupi.*

Jesień jesienią. Można podnieść kołnierz płaszczka i dalej iść przed siebie. Ale po jesieni nadchodzi zima, kiedy w słojach roślin przestają krążyć soki, zwierzęta na ogół zapadają w sen, a ziemię przykrywa śnieg. Właśnie śnieg. Dla poety kolejny symbol, metafora. Śnieg kojarzymy z bielą, z siwizną, czyli znów ze starością, z przemijaniem. Śnieg kojarzy się też z zimnem, czyli inaczej z ludzką obojętnością, czy z wyrachowaniem, atrofią uczuć. Doprawdy, ze śniegiem (nie zaistniały dotąd w przyrodzie dwa takie same śnieżne płatki) niejedno możemy skojarzyć. Cytuję z różnych wierszy:

*Krzysiu, już tego nie zobaczymy nawet ponad bielą
obłoków:
Stadko pomarańczy, które upadły z rąk w świeży
śnieg*
[...]

*Marzec, a pachnie grudniem. Śnieg w brudnych
pryzmach
Trwa i trwa. Jak pytania, na które nie ma
odpowiedzi,*
[...]

*Padał śnieg, zasypywał brudy świata i tajał.
[...]*

Może przez te wszystkie lata uprzątałem śnieg na

[...]

*Gdyby puszysty płatek śniegu
Spadł na twoją rzeszę,
[...]*

*Przegrałem, kiedy padał śnieg
[...]*

Chyba dość tych przykładów, choć w tym tomie mocno obecne są także takie słowa-kłucze jak np. „sen”, czy „słońce”, gdyż poeta raz po raz myli tropy, nakłada i zdejmuję maski, stawia przed czytelnikiem kurtyny i zasłony.

Kontrastem dla bieli jest oczywiście czerń. I chociaż w palecie poety jest wiele kolorów, to czerń przywołuje najczęściej. Wypisuję z *Nawet Ty*: czarny wiatr, czarny jedwab, ciemne zakola, czarne jezioro oka, czarny włos, cienisty ogród, czarne dziury, czarnowłosa dziewczyna...

Nie od dziś Wawrzkiewicz udowadnia, że jest mistrzem liryki miłosnej, autorem udanych erotyków, całej tej sfery uczuciowej utkanej z niedopowiedzeń, subtelnych aluzji i literackich środków wyrazu, a tak ważnej w poezji, i bodaj najstarszej.

Dlatego nie ma co ukrywać, że *Nawet Ty* to tom bardzo osobisty, cicha adoracja kogoś kogo imienia nie jesteśmy pewni (Agnieszka?), ale na pewno muza jest przeciwnej płci. Co jednak chroni poetę przed krzykiem z samego dna rozpacz? Przecież nie kindersztuba, lecz olimpijski spokój, coś, co niektórym udaje się osiągnąć wraz ze starością. Panu Bogu starość się nie udało, ale jeśli ci, którzy przekroczyli „dwie siekierki” (określenie Miłosza) piszą takie refleksyjno-miłosne wiersze, to nic tylko radować się. Zwracam uwagę choćby na złożony z paradoksów wiersz rozpoczynający tom pt. *Modlitwa*, na dodatek pisany trzynastozgłoskowcem, którym przecież Mickiewicz napisał *Pana Tadeusza*, a ks. Twardowski *Śpieszmy się*.

Oto fragment *Modlitwy*:

*Daleś mi głóg, tarninę i jabłoń zdziczałą,
I daleś mi dziewczynę, której mi nie daleś.*

*Daleś mi miłość wielką, brak miłości daleś,
Nie całkiem dobre zdrowie i wątpięce ciało.*
[...]

A co tak naprawdę sygnalizuje tytuł ostatniej książki Wawrzkiewicza? Z d z i w i e n i e, że *nawet Ty*, najbliższa poecie osoba, nie jesteś zdolna go zrozumieć, czy też odwrotnie, p o g o d n ą k o n s t a t a c j ę, że nie tylko przyjaciele, ale *nawet Ty* rozumiesz jego obawy, lęki i fascynacje, bierzesz w nich aktywny udział.

Czy miłość to najważniejszy temat tego lirycznego zbioru? Są tam przecież i inne wydarzenia czy zdarzenia związane choćby ze wspomnianym w tej recenzji wyżej rozpa-

Syberii,

dem, odchodzeniem, przemijaniem, uwypukleniem błahości i kruchości życia, zgodą na nieuchronność praw przyrody, pogodzeniem się z rzeczywistością. W tym także leży siła poezji Wawrzkiewicza, w znajdowaniu w powszedniości dnia lirycznego błysku, który każe zastanowić się czytelnikowi: czemu ja, np. jadąc miejskim autobusem, tego nie dostrzegłem, przeoczyłem?

Należy zauważyć, że poeta wydaje regularnie swoje książki. W każdej z nich, z nienaganną elegancją i precyzją w każdym słowie, słowie skondensowanym, często o charakterze aforyzmu czy też paradoksu, bez zbędnych metafor, odsłania przed nami nieustający dramat życia, którego jesteśmy i świadkami, i uczestnikami. Dlatego z tej racji także warto pochylić się nad jego lirycznym słowem.

Bo oto jakoś nie spostrzeżliśmy, jak wyrósł nam nowy Mistrz, Autorytet literacki. Wcześniej zadziwiał nas swoją późną poezją Staff (*Wiklina*), po nim np. Iwaszkiewicz (*Mapa pogody*, *Muzyka wieczorem*), a teraz Marek Wawrzkiewicz wyrósł na pierwszego piewę całej urody i brzydoty życia, uważnego badacza jego tętna.

Mamy początek XXI wieku, zdaje się nam podpowiadać poeta, za nami potężne burze dziejowe, wzloty i upadki wielu ideologii, kolejne pewnie nas czekają, ale przecież, mimo codziennej udręki, poezji nie możemy uznać za zbędną. Poezja to także czuły sejsmograf. Nadto przypomina wątpięcym, że to radość pisania, możność utrwalania, zemsta ręki śmiertelnej...

Marek Wawrzkiewicz, najmocniej związany z Orientacją Poetycką „Hybrydy”, znany jest jako tłumacz, dramaturg, recenzent teatralny, redaktor, wysokiej klasy działacz społeczny, ale przede wszystkim należy mu się tytuł Poety. *Nawet Ty* jest tego dobitnym przykładem.

Stanisław Grabowski

Wszystkie pory roku

Dwanaście lat temu znalazłem się po raz pierwszy w Bibliotece Domu Literatury na Krakowskim Przedmieściu w Warszawie, i do dzisiaj jestem jej stałym gościem. Dla zainteresowanych literaturą to prawdziwy raj, w którym każdy znajdzie coś dla siebie. Ja zająłem się przede wszystkim poezją, tą dziedziną, która współcześnie nie ma dobrej prasy. Tak właściwie poezją na poważnie zajmuje się niewiele osób, pomijam zainteresowanych nią poetów, nieco naukowców, trochę entuzjastów; w XXI wieku jest spychana na literacki margines, nie pamięta się o jej tradycjach, zapomina o roli, jaką spełniała przez wieki, zwłaszcza u nas, w Polsce.

Dzisiaj, kiedy żyjemy teoretycznie w wol-

nym i demokratycznym kraju, zajmowanie się poezją to zajęcie dla hobbystów, ludzi mających dużo wolnego czasu.

Ja także, mimo że od połowy lat pięćdziesiątych pisałem do szuflady, dopiero po zakończeniu pracy zawodowej postanowiłem na serio zająć się literaturą. Czy nie za późno? Nie wiem. W każdym razie przez te dwanaście lat na drodze do poznawania poezji spotkałem osobiście wielu bardzo ciekawych ludzi o niezwykłych biografiiach twórczych, wiele poetyckich indywidualności, co jest dla mnie wielkim zaszczytem.

W latach sześćdziesiątych korespondowałem z Jarosławem Iwaszkiewiczem, bywałem na spotkaniach, np. z Arnoldem Śluckim, Grochowiakiem, Śliwonikiem, całą plejadą poetów „Współczesności” czy spod znaku „Hybryd”, znałem osobiście księdza-poetę Jana Twardowskiego, ale dopiero pobyt w takim cudownym miejscu, jakim jest czytelnia Biblioteki Domu Literatury, pozwolił mi dogłębnie poznać tajniki liryki polskiej i światowej, zgłębić jej stronę warsztatową, docenić różne jej odmiany.

Czytając wiersze współczesnych poetów od początku zwróciłem uwagę na Marka Wawrzekiewicza, którego mam przyjemność widywać w Domu Literatury, jako że p. Marek od 2003 roku prezesuje ZLP, którego i ja z czasem stałem się członkiem.

Czytając jego kolejne tomy wierszy, połączawszy od pierwszego, przekonałem się, że to poeta wybitny, posiadający ogromną wiedzę literacką i ogólną, dysponujący dużym talentem twórczym, i to w różnych dziedzinach, a ponadto twórca doświadczony życiowo, wyróżniający się oryginalną refleksją intelektualną, często autoironiczny, z dużym poczuciem humoru, znający kilka języków, co dla pisarza nie jest bez znaczenia.

Marek Wawrzekiewicz dysponuje sobie tylko właściwą kadencją poetyckiego zdania, pisze bardzo perfekcyjnie, bez zbędnych słów, nie nadużywa środków poetyckich, każde słowo w jego utworach poetyckich jest na właściwym miejscu. Po cichu muszę przyznać, że chciałbym pisać tak jak on, tyle umieć, widzieć i czuć, i na dodatek swoje przemyślenia przedstawiać prostym i jasnym językiem o poetyckich walorach, tylko jemu właściwym.

Jego ostatnio opublikowany tom wierszy pt. *Nawet Ty* nie zawiódł mnie. A nawet odwrotnie. Poglębił mój podziw, gdyż poeta pisze w nim o sprawach, które i mnie są bliskie, którymi żyję na co dzień. Upływ czasu, refleksja nad przemijaniem, wracanie pamięcią do przeszłości... To nie jedyne tematy, którymi się zajmuje. Jednak w tym tomie zaintrygowała mnie przede wszystkim iwaszkiewiczowska zaduma nad przemijaniem czasu, to jest to, co Wawrzekiewicz niejako „drażni” lirycznie od wielu lat. Zwłaszcza, kiedy przemijanie łączy się ze sprawami intymnymi, osobistymi. To sfera bardzo

delikatna, kiedy mężczyzna opowiada o wzruszeniach związanych z uczuciem, nie ukrywając, że jest w wieku jesiennym, wieku nostalgicznej jesieni kalendarzowej, wtedy gdy wie, że między pragnieniem a spełnieniem jest coraz większy rozdział, że heraklitowa rzeka nigdy się nie zwięża, a odwrotnie jej brzegi stają się coraz bardziej odległe od siebie, coraz mniej widoczne dla niego. Co robi wtedy autentyczny poeta? Nie skarży się na nieodwołalny wyrok, nie narzeka. Tylko po prostu lirycznym słowem mierzy się z losem, z czasem, który mu pozostał.

Ktoś gdzieś napisał, że poezję Wawrzekiewicza można określić, jako „świadomość klęski, jaką jest życie, i nadziei, jaką daje śmierć”. I coś z tego jest i w tym tomie, w powtarzających się refleksjach z jesiennymi motywami, choć nie brakuje i zimowych. Mimo wyroku, od którego nie ma odwołania, poeta pozostaje człowiekiem męznym, a dowodem jego mądre i głęboko przemyślane strofy, które czytelnikowi pozwalają zadumać się nad człowieczym losem, powracać do miłości, które go spotkały. Do piękna czasu minionego, którego każdy szczegół tak intensywnie w młodości się przeżywa, do retrospekcji w głąb samego siebie. Oto zadanie dla starego mistrza, które wykonuje z maestrią i delikatnością, kiedy boli zarówno zło jak i dobro minionych lat. Poeta podpowiada nam, że miłość spóźniona ma także swoje prawa, że być może jest czymś najpiękniejszym, co mogło nas spotkać. Wielki francuski poeta powiedział niegdyś, że „Nie ma miłości nie-szczęśliwej, bo każda miłość jest wielkim szczęściem”. I ta refleksja także nam przychodzi na myśl podczas lektury tomu *Nawet Ty*.

Wsluchajmy się uważnie w tę strofę:

*Nikogo nie ma tak bardzo jak ciebie, kiedy cię nie ma.
Nikt nie jest tak bardzo jak ty, kiedy cię nie ma.
[...]*

A na koniec warto zapytać, czy istnieje jakaś wiara w niespodziewaną pomoc tej, co stała się nam absolutnie wszystkim – tej najważniejszej w życiu? Skoro rozumiemy, że tak musi być jak jest, i że nie będzie inaczej. I że nikt i nic nie jest nam w stanie pomóc. *Nawet Ty*...

Dlatego jakże nie podziękować pocie za tę wiązaną smutno-lirycznych, gorzkich i refleksyjnych wierszy, których przesłanie nie do końca jest przecież tragiczne. Zawsze kołaczę się, podpowiada nam poeta, gdzieś tam iskierka nadziei. Oby odnaleźć ją, natrafić na nią.

W pięknej *Modlitwie* otwierającej tom *Nawet Ty* czytamy:

*Daleś mi miłość wielką, brak miłości daleś,
Nie całkiem dobre zdrowie i wątpliwe ciało.*

*Ja się przecież nie skarżę – daleś i tak sporo;
Bo mi podarowałeś wszystkie pory roku.
A wszakże mógłbyś wcześniej dać mi późną jesień,*

A nie tak późną, w której właśnie jestem. [...]

Zbigniew Majewski

Marek Wawrzekiewicz, „Nawet Ty”. Wydawnictwo Adam Marszałek, Toruń 2014, s. 80.

„Wiele jeszcze miejsc niespełnionych”

Wybór wierszy jest swoistym rekonesansem, spojrzeniem wstecz. Próba ustalenia, czy rzeczy napisane kiedyś nie spłwowały, czy jest w nich coś, co warto przypomnieć, pokazać światu jeszcze raz. Czy napisane dawniej słowa zabrzmiały znów czysto i mocno. Wówczas więc pisarz staje przed koniecznością wyboru. Ze zbiorów dawniejszych wybiera to, co – jego zdaniem – jest godne opublikowania po latach albo co współgra czytelnie z późniejszą twórczością. „Utwory wybrane” **Wiesławy Siemaszko-Zielińskiej** stanowią właśnie taką próbę. Jeleniogórska poetka, pisarka i publicystka zdecydowała się wydać swoją kolejną książkę, w której sięga po teksty chyba najbardziej reprezentatywne dla jej pióra. Zestaw utworów jest pokaźny, ponieważ składają się nań wiersze z siedmiu opublikowanych wcześniej tomików oraz wiersze nowe, opowiadania z dwóch zbiorów i dość liczne fragmenty recenzji dedykowanych do poszczególnych wydanych już książek. Pomieszczenie sporej liczby utworów z różnych okresów twórczości w jednej publikacji daje możliwość (a w każdym razie ją ułatwia) przesłedzenia charakteru twórczości pisarki, obszarów literackiej penetracji, dostrzeżenia jakichś prawidłowości formalnych, uchwycenia typu wrażliwości artystycznej.

Siemaszko-Zielińska czerpie tworzywo do swoich wierszy i opowiadań przede wszystkim z sytuacji egzystencjalnych, zwłaszcza z bardzo – jakby się wydawać mogło – osobistych doświadczeń, z obserwacji i zasłyszanych zwierzeń. Nierzadko wiersz jest śladem wzruszenia estetycznego, wyrazem zachwytu urodą pejzażu, pięknem chwili lub – przeciwnie – pachnie cierpkim zapachem smutku, melancholią. Czasem wylania się w tekstów autorki „Drogowskazów spojrzeń” jakaś tęsknota, w której odczuwa gęsty smak minionego czasu. Poetka umiejętnie operuje aluzją, często nie chce wyrażać uczuć wprost, ukrywając je za kotarą rekwizytów. Wydaje się być konsekwentna w ukazywaniu kobiecej perspektywy świata. Perspektywy, w której nie może nie być miejsca dla emocji, wzruszenia, choćby stonowanego i powściągliwego, dla serdeczności i otwartości na drugiego człowieka. Wiesława Siemaszko chyba nie potrafi być inna. W tym, co pisze, jest szczerza, a przy tym odważna.

(Dokończenie na stronie 20)

„Wiele jeszcze miejsc niespełnionych”

(Dokończenie ze strony 19)

Wierzy w zwycięstwo miłości nad obojętnością i cynizmem, choć świat nie ułatwia tej wiary.

Wiersze **Wiesławy Siemaszko-Zielińskiej** są bardzo często poetyckim zapisem związków między kobietą a mężczyzną. Autorka odsłania możliwe sposoby przeżywania tych relacji – od zachwyty, uniesienia, uczuciowej ekscytacji, po subtelny potrzebę duchowej bliskości, obecności choćby z oddalenia. Nierzadkie są tony smutku, poczucia skrzywdzenia, choćby przez obojętność. W wierszu „Wizyta”, pochodzącym ze zbioru „Drogowskazy spojrzeń”, dostrzegamy ambiwalentny stan bohaterki utworu, oscylujący pomiędzy rezygnacją a wolą przełamania towarzyszącej rozstaniu nostalgii. Zwycięża chęć „wzięcia się w garść” wbrew życiowym okolicznościom:

*Zapukam jeszcze
uchylę drzwi
odnajdę miejsce po wczorajszym dniu
nie będę smutna
już*

Bohaterka wierszy nie kieruje się w życiu wyrachowaniem, kalkulacją. Jej pragnienie miłości silniejsze jest od aktów obojętności czy lekceważenia. Gotowość uczuć wzbiera nieraz gwałtownie i drapieżnie, a czasem manifestuje się dyskretnie, jakby nieco bezradnie. Wciąż rozpamiętuje minione piękne chwile, czerpie z nich jakąś bolesną satysfakcję i czeka z nadzieją na powrót miłości:

*róża
bez płatków
które opadły
ze mnie
związanej w supeł (...)*

*nienasycone tobą
wyczekiwanie*

(„Związana w supeł”
z tomu „Między słowem a dotykem”)

Tak często spotykana w literaturze sytuacja egzystencjalna, jaką jest samotność, zostaje w poezji Siemaszko-Zielińskiej oswojona. Poetka uznaje ją za stan wymuszony, z którym trzeba umieć się pogodzić. Pisz:

*Może tak właśnie trzeba
aby widzieć
krzesło zamiast ciebie
stół
zamiast paru kufli piwa (...)*

(„Może tak trzeba”
z tomu „Tuż obok świata”)

Bohaterka wiersza gotowa jest na odważny wybór, pozbawiony złudzeń. Wie, że teraz

będzie trudniej, ale nie może dłużej trwać w sytuacji, w której skazana jest na ciągłe oczekiwanie. Autorka, znając kobietę psychikę, modeluje bohaterkę walczącą o swoją godność.

Innym istotnym komponentem tych wierszy jest ich sensualizm. Materia uczuć w poezji Wiesławy Siemaszko-Zielińskiej znajduje się tuż obok mitu, łatwo uzyskuje status czegoś niematerialnego, duchowego:

*spojrzeniem
rzeźbisz kształt mego ciała
podnoszę skrawek błękitu
jaśniejsza o ciepło
rąk twoich –
Pigmalionie*

(„Ręce Pigmaliona”
z tomu „W ułotnym szeleście słów”)

Pojawiają się przejmujące poetyckie wspomnienia, jak to o nieżyjącej malarce, Małgorzacie Sarzyńskiej, pięknym artystycznym duchu jeleniogórskiego rynku:

*tak wiele jeszcze miejsc niespełnionych
a już cisza się zmagą
i tylko ramy stoją samotne*

(„W dialogu z malarką”
z tomu „Drogowskazy spojrzeń”)

W wyborze wierszy znajdziemy także utwory ze zbioru haiku („Haiku kwitnących orchidei”) oraz z tomiku „Kilka ledwo dotkniętych chwil”, świadczące o poszukiwaniach warsztatowych, teksty niezwykle krótkie, lapidarne, a jednocześnie opalizujące wieloma kolorami znaczeń i uczuć. Ta kunsztowna forma wymaga sporego rygoru pisarskiego. Autorka „Utworów wybranych” oswaja ten rzadko używany gatunek poezji, tworząc sporą liczbę lapidarnych tekstów, które złożyły się na cały odrębny zbiorek.

W swoim dorobku Wiesława Siemaszko-Zielińska posiada także teksty prozatorskie. W prozie wchodzi w szczegóły problemów, które w poezji pokazuje w pewnym skrócie, w formie skondensowanej. W wyborze znalazły się utwory pochodzące ze zbiorów opowiadań „Pociąg niespełnienia” i „Kilka ledwo dotkniętych chwil”. Wśród nich takie tytuły jak „Zabłąkane miasto”, „Jesienna opowieść”, „Pośród gwaru miasta”, „Pociąg niespełnienia” i „Ręce moje – twoje”. Jest też kilka odsłon z prozy pt. „Kilka ledwo dotkniętych chwil”. Siemaszko-Zielińska udowadnia, że równie dobrze potrafi opowiedzieć o ważnych problemach mową niewiązaną. Oto próbka jej pisarskiego języka:

„Usiedliśmy do stołu. Prawie nic nie mówiliśmy. Widocznie byłem ważniejszy od słów. Słuchała i patrzyła. Może nawet dość nachalnie. Z jakimś zdziwieniem w oczach. Trochę się rozgadałem. Alkohol zrobił swoje. W końcu miałem dość i położyłem się. A ona bez słowa siadła przy mnie. Trzymała rękę. I wciąż patrzyła. Widocznie znajdowała przyjemność w drobnych gestach. Delikatnych jak muśnięcie dłoni”

„Ona i on w czterech odsłonach”
z tomu „Kilka ledwo dotkniętych chwil”)

Wyczuwa się w prozie Siemaszko-Zielińskiej delikatny nałot języka poetyckiego. Autorka obydwu prozatorskich tomów korzysta ze swojego poetyckiego doświadczenia i, może bezwiednie, używa sposobów obrazowania bliskich liryce. Mimo że operuje formą mniejszą, opowiadaniem, nie przedstawia wyłącznie obyczajowych ilustracji. Bohaterowie jej prozy to ludzie z różnymi problemami, skazami, zranieniami, które ujawniają w dialogach. Narrator dyskretnie uzupełnia wizerunki bohaterów, kreślone przez nich samych. Autorka opowiadań chyba dużo wie o człowieku, o bogactwie jego doświadczeń, przeżyć i potrafi dar obserwacji wykorzystać w swoich utworach. Może poradziłaby sobie z formą bardziej pojemną – powieścią?

„Utwory wybrane” Wiesławy Siemaszko-Zielińskiej zostały tak pomyślane, by po wyborze reprezentatywnych tekstów z każdego zbioru, pojawiły się fragmenty recenzji poświęcone tomikowi, z którego utwory pochodzą. Wzbogacają one lekturę tych wierszy i opowiadań i jednocześnie świadczą, że twórczość autorki „Między słowem a dotykem” jest dostrzegana i komentowana.

Wiesława Siemaszko-Zielińska ma za sobą blisko trzydzieści lat pracy literackiej i dobrze, że pokazany jej dorobek można wreszcie zobaczyć w jednej publikacji. Wybór utworów bowiem to taki skrócony przegląd, dający możliwość spojrzenia na całą drogę twórczą. W przypadku autorki „Drogowskazy spojrzeń” widać wyraźne pokrewieństwo tekstów starszych i nowych (i tych najnowszych, które też znalazły się na łamach „Utworów wybranych”). Warto może dodać, że Siemaszko-Zielińska jest także autorką tekstów publicystycznych – recenzji i wywiadów. Jest bohaterką kilku słuchowisk radiowych.

Książka niniejsza została wydana pod auspicjami Stowarzyszenia „W Cieniu Lipy Czarnoleskiej”, przy finansowej pomocy Miasta Jeleniej Góry. Edytorski kształt publikacji dopełniają zdjęcia wykonane przez syna autorki Krystiana Zielińskiego (pejzaże Karłonoszy) i córkę Izabelę Fortunę (portret na drugiej stronie okładki). Na końcu książki znajdziemy garść informacji m. in. o dorobku pisarskim Wiesławy Siemaszko-Zielińskiej. „Utwory wybrane” są swoistym podsumowaniem dotychczasowej twórczości, ale – jak się wydaje – jest to jedynie summa pewnego etapu w twórczości jeleniogórskiej poetki, która poszukuje nowych artystycznych wyzwań i wciąż stawia sobie kolejne pisarskie zadania.

Jan Owczarek

Wiesława Siemaszko-Zielińska, „Utwory wybrane (poezja i proza)”. Wydawnictwo: Stowarzyszenie „W cieniu Lipy Czarnoleskiej”, Wrocław 2014, s. 175.

Filozofia codzienności (98)



Wiąże się ten problem także z troską o właściwych nauczycieli akademickich. Sprawą ogromnie pilną jest odrodzenie mistrzów – przewodników w dziedzinie wiedzy i zarazem w życiu. Nie wystarczy, by nauczyciel akademicki krzewił wiedzę farmaceutyczną. Istotne znaczenie ma jego osobowość.

Od aptekarza wymaga się nie tylko nieustannego pogłębiania wiedzy, ale także określonych właściwości charakteru, a w tym bezinteresowności. Postawa konsumpcyjna nauczających udziela się łatwo nauczany, czyniąc im, jak również ich pacjentom w przyszłości, wielkie szkody. Słusznie pisał Julian Aleksandrowicz, że skoro szkoły Hitlerjugend dowiodły, iż można przeciętnego Niemca ukształtować jako sadystę – uzasadnione staje się twierdzenie, że można także w uczelniach wychować szlachetnego człowieka, odpowiedzialnego za własny naród i społeczność europejską. Niezbędne jest także wyrabianie poczucia odpowiedzialności za ludzkość. Zmierzamy ku społeczeństwu globalnemu. Jest ono już faktem, zważywszy rozkwit środków łączności. Sprawą pilną jest przekazywanie stosownych treści w mediach. Pozytywną rolę mogliby tu odegrać aptekarze.

Nie baczając na to, jakie rozwiązania dominują w krajach Unii, warto szerzyć pogląd polskich aptekarzy czasów międzywojennych, że lekarstwa wymagają przeznaczonych ku temu aptek, których nie wolno zastąpić drogerią czy domem handlowym. Przypomnę, że właśnie w okresie Polski niepodległej ukazał się spis urzędowy leków, czyli farmakopea, która była najnowocześniejszą w Europie. Przygotowali ją wybitni uczeni i aptekarze. Jej przestrzeganie służyło skutecznie chorem. Jakże odeszliśmy daleko od – osadzonego w polskiej tradycji – zakazu niekontrolowanego handlu środkami leczniczymi. Nawet przechowywanie ziół wymaga kwalifikacji naukowych. W rękach dyletantów może spowodować nieobliczalne szkody.

Już w okresie międzywojennym profesor J. Modrakowski, rektor Akademii Stomatologicznej, krytykował Amerykę za to, że wypaczyła charakter aptek, czyniąc z nich coś na kształt kramu, gdzie można nabyć *cygara*, leki i zabawki. Nieporozumienie polega na tym, że firmy farmaceutyczne, dążąc do zysku, pragną by lekarstwa można było łatwo kupować.

Powinno być odwrotnie: lekarstwa mają być poszukiwane wtedy, gdy są niezbędne. Zachodzi więc różnica interesów przemysłu farmaceutycznego i zdrowia pacjentów. Zastanawiające, że firmy farmaceutyczne nie biorą pod uwagę tego, że brak fachowej dystrybucji podważa wartość lekarstw i może osłabić zaufanie do nich. Postawa kupiecka zderza się z postawą tych, którzy przede wszystkim mają na celu ochronę zdrowia i składali stosowną przysięgę.

Zdrowie jest fundamentalnym prawem człowieka. Idzie nie tylko o brak chorób, ale także o dobre samopoczucie fizyczne i psychiczne. Ponieważ troska o zdrowie i życie człowieka jest podstawowym zadaniem aptekarzy, więc są predestynowani do tego, by szerzyć właściwy stosunek do człowieka, ponieważ nie powinni mieć uprzedzeń rasowych, religijnych, czy politycznych w swojej pracy. Wymiana informacji oraz współpraca z innymi ludźmi odgrywa istotną rolę w trosce o zdrowie narodu. Światowa Organizacja Zdrowia podkreśla, że zdrowia nie należy pojmować jedynie jako braku chorób. Organizacja ta nakłada obowiązek, by troszczyć się również o zdrowie tych, którzy mieszkają na odległych kontynentach. Nakaz ten powinien wyrabiać w aptekarzach poczucie odpowiedzialności za każdego chorego człowieka.

Jednoczeniem się gospodarczemu i politycznemu Europie nie towarzyszy wspólnota afirmowanych wartości. Funkcjonują różnorodne światopoglądy oraz odpowiadające im uprzedzenia. Dialog międzykulturowy jest w Europie tym bardziej niezbędny, że sprawy światopoglądowe mają być pozostawione decyzji narodowych parlamentów. Nie ma wartości wyższych, czyli ideałów, które łączyłyby ze sobą Europejczyków. Problem jest tym poważniejszy, że towarzyszy temu proces ujednolicania świadomości w drodze zaszczepiania niższych wartości propagowanych z dużą siłą sugestii przez kulturę masową. Wyższe wartości, czyli ideały, powinny zacząć spajać w naszych czasach Europejczyków. Nie mam wątpliwości, że polscy aptekarze mają wiele do zaoferowania Zachodowi.

Rolę przywódców narodu pełnili w Polsce, w XIX wieku poeci. Potem rolę tę przejęli inżynierowie, nauczyciele, czy lekarze wskazani jako wzór do naśladowania. W XX wieku niektórzy psychiatrzy, czy artyści sztuki działań chcieli zmieniać społeczeństwo, czując się za nie odpowiedzialnymi. Twierdzę, że dziś nastały czasy, w których tę odpowiedzialną misję mają pełnić aptekarze.

Wartość tradycji polskiego aptekarstwa

Pouczające oraz inspirujące bywa sięganie do dawnych publikacji. Skłaniają one do refleksji nad aktualnymi problemami. Okazuje się też niejednokrotnie, że pewne problemy niezmiennie towarzyszą kolejnym pokoleniom. Byłoby

wskazane, żeby przynajmniej niektóre z nich znalazły rozwiązanie w XXI wieku.

Ustawa dla farmaceutów i aptek z 1864 roku uznaje, że jedynie wykwalifikowani aptekarze mają prawo trudnić się przyrządzaniem lekarstw. Już w połowie XIX wieku starannie odróżniano aptekarzy od farmaceutów. Niektórzy jedynie farmaceuti, na podstawie złożonego egzaminu, mieli przyznany „stopień aptekarza”.

Do stanu farmaceutów dopuszczane były w połowie XIX wieku osoby jedynie wyznania chrześcijańskiego. Z dzisiejszego punktu widzenia była to wyraźna dyskryminacja, mająca u podłoża podział obywateli na lepszych i gorszych stosownie do wyznania religijnego. Niepokojące, że takie kryterium nie należy bezpowrotnie do przeszłości. Słuszne natomiast było ograniczenie aptekarzy do posiadania wyłącznie jednej apteki. Słuszne, bo pozwalało to koncentrować uwagę – jak sądzę – bardziej na problemach pacjentów niż na zyskach. Taka jest bowiem ludzka natura, że w miarę wzbogacania się – potęguje się namiętna chęć posiadania jeszcze większego bogactwa.

Chciałabym zwrócić uwagę na to, że paragraf 14 omawianej ustawy wyraźnie zezwalał jedynie aptekarzom na zakładanie apteki. Twierdzę, że należy czerpać z tradycji, w tym przypadku z tradycji Królestwa Polskiego. Prowadzi to do wniosku, że wymagania etyczne były wyższe niż w czasach dzisiejszych. Zwłaszcza, że zezwalano wówczas na zakładanie nowych aptek tylko wtedy, gdy „okoliczności miejscowe przemawiać będą za koniecznym utworzeniem nowej apteki”. Tymczasem, na przykład w Nałęczowie, obserwuję ostatnio zakładanie nowych aptek w bliskim sąsiedztwie, co narusza zasady etyczne. Wytwarza się niezdrowa konkurencja. Co więcej, ta wielość aptek nie jest usprawiedliwiona oczekiwaniami społeczności. A brano je pod uwagę w XIX wieku.

Apteki w XIX wieku nie przypominały dzisiejszych – nazwałabym to – sklepów aptecznych obwieszonych reklamami, które często dezorientują pacjentów. Co więcej, oburzenie wywołał pomysł, by zezwolić na sprzedaż leków poza apteką. Uznano go za niebezpieczny z punktu widzenia zdrowotności. Szacunkiem dla człowieka, w tym człowieka chorego, kierowano się sto lat temu w stopniu wyższym niż w dzisiejszych czasach.

Nie ma wątpliwości co do tego, że reklamowanie lekarstw służy głównie wzbogaceniu się firm farmaceutycznych. Jest zabiegiem komercyjnym i nie ma nic wspólnego z dobrem pacjenta. Odwrotnie. Wykorzystuje się stan małej odporności psychicznej człowieka chorego, by informować go o rzekomo cudownych możliwościach określonych środków farmaceutycznych.

cdn.

Maria Łayrakowska

JERZY MARCINIAK

Ławka biskupa

Weszliśmy do dworskiego parku. Pod podeszwami zgrzytał żwir. Na poboczach alejki leżały hałdy szarego, topniejącego śniegu. Po mokrych pniach drzew spływały w dół grube krople wody. Obok ławki, na której siadywał kiedyś biskup włocławski Karol Radoński, wrzało. Wyglądało na to, że kilku mężczyzn grało w karty a żona jednego z nich zgłaszała dosyć głośno; cum votum separatum – czyli, zdanie odrębne. I z tego co mówiła, to wynikało, że po pierwsze, to mąż jej miał się dzisiaj odegrać a nie przegrać jeszcze więcej a po drugie, to skoro mu karta nie szła, to powinien iść do domu:

– Myślisz, że przyjdiesz wieczorem do domu a ja będę wachała twoją cuchnącą twarz i znowu dam ci na papierosy ?? O niedoczekanie twoje !

Mąż musiał nie należeć do nerwowych i kłótliwych, bo spokojnie kontynuował grę. Obok ławki stały dwie butelki po tanim winie.

Majątek ziemski Majków należał przed wojną do Feliksa Karśnickiego i jego żony Jadwigi z Radońskich. On był pilsudczykiem, działaczem BBWR a później Obozu Zjednoczenia Narodowego. Z ramienia tych dwóch ostatnich organizacji, razem z generałem Felicjanem Sławoj-Składkowskim, zasiadał w Sejmie z okręgu kaliskiego. Miał za sobą piękną kartę wojenną, zwłaszcza z wojny polsko-bolszewickiej. Przez wiele lat był prezesem Związku Ziemian w Kaliszu. Do tego kochał bardzo konie.

Stanęliśmy obok ławki, na której siadywał kiedyś generał Felicjan Sławoj-Składkowski. Grażyna wyciągnęła papierosa i zapaliła. Patrzyła na tą drugą ławkę, gdzie kiedyś lubiał siadać biskup, by w skupieniu odmawiać brewiarz. Nic nie mówiliśmy. Biskup Karol Radoński odegrał w naszych rodzinach pewne role. Mojego ojca przyjął do Seminarium Duchownego we Włocławku a następnie wydał z tego Seminarium i to z wilczym biletem. Z Grażyny wujkiem, czyli bratem jej ojca, obszedł się zgola inaczej. Przyjął go do Seminarium a następnie wyświęcił na księdza.

Niewykluczone, że nastąpiło jakieś przekroczenie zasad gry w karty, bo dwóch z grających złapało się za kłapy i zaczęło odpychać. Pomagali sobie przy tym kopniakami. Po chwili poszły też w ruch i pięści. Ten, którego małżonka stała obok ławki, otrzymał kolejne zaproszenie na szybki powrót w rodzinne pielesze.

– Jak Stasiu by i tobie twarz obili to ja bym mu słowa marnego nie powiedziała! Lepiej chodź do domu!

Adresat jej słów zachowywał się tak, jakby ich w ogóle nie słyszał. Palił papierosa i czekał aż ci dwaj, oderwani chwilowo od gry, powrócą do kart.

Mojego ojca przyjął do Seminarium biskup Karol Radoński za to, że mój dziadek Franciszek pokrył za własne pieniądze dach na starym kościele w Godzieszach, leżącym w ziemi kaliskiej. Oficjalnie nazywano to trochę inaczej. Mianowicie, że podczas nauki religii młody Tadeusz otrzymał łaskę powołania i na skutek wstawiennictwa proboszcza z Godziesz, biskup Karol Radoński udzielił mu audiencji wraz z błogosławieństwem. Ojciec do Seminarium w ogóle nie chciał iść.

Grażyny wujek, po wyświęceniu na księdza i zrobieniu doktoratu, wykładał historię kościoła w Seminarium we Włocławku. O biskupie Karolu Radońskim miał zdanie jak najlepsze. Kilka też razy odwiedził Kociałkową Górkę, gdzie w majątku swoich rodziców, biskup się urodził.

Stasiu wziął górę nad tym drugim i tym samym w miejsce dotychczas grającego, wszedł jeden z gapiów. Ten co odszedł od ławki to zaczął iść w stronę zabudowań folwarcznych. Z ust ciekła mu krew. Przechodząc obok nas splunął, gęstą śliną wymieszaną z krwią i powiedział:

– Dzień dobry!

Odpowiedzieliśmy mu prawie jednocześnie.

Z nazwiskiem Radońskich zetknąłem się wielokrotnie. Ojciec zaczynał prawie każdy dzień od śpiewania „Kiedy ranne wstają zorze” i często nadmieniał, że zalecał to w Seminarium biskup Karol Radoński. Później przenieśliśmy się do Kalisza i zacząłem chodzić w niedziele na msze święte do kościoła Jezuitów. Tam w korytarzu była tablica pamiątkowa na której widniało nazwisko Radońskich.

Grażyna rzuciła niedopalonego papierosa na ziemię i rozdeptała go podeszwą. Na gałęziach alei jesionowej, która biegła kiedyś od pałacyku w stronę stawów, kołysały się wrony i kruki. Dzisiaj stawów już nie było. Zostały zasypane i teraz w tych miejscach były ogródki działkowe.

W czasie stanu wojennego otrzymałem skierowanie do pracy w Urzędzie Gminy w Żelazkowie. Mieścił się on w pałacu należącym przed wojną do Józefa Radońskiego. Pałac był budowlą okazałą z dwiema oficynami. Z tyłu rozciągał się park z alejami starych drzew. Jedną była kasztanowa a druga lipowa. Urzędowałem w drugim pokoju na lewo od głównego wejścia. W czasach Józefa Radońskiego był to jeden z pokoi gościnnych. Wiele razy nocował w nim biskup Karol Radoński. Na parterze były dwie duże sale. W jednej z nich mieściła się gminna biblioteka. W chwilach wolnych czytałem tam gazety. Z sali tej były drzwi do gminnego archiwum. Przed wojną była tam pałacowa kaplica w której wiele razy modlił się biskup Karol Radoński. Kierowniczką biblioteki była kobieta w starszym wieku, która miała zwyczaj podkreślać realizujemy socjalistyczny model kultury. Ojciec jej był służącym u Józefa Radońskiego. Nieraz mówiła mi: każdego roku spędzał dziedzic karnawał w Paryżu, bawił się tam i tamte gazety pisały o

nim, że to bogaty dziedzic z Polski... przed wyjazdem szył sobie zawsze eleganckie garnitury, ojciec za każdym razem jeździł z nim do Paryża... po wojnie, to dziedzic przyjeżdżał nieraz wieczorami do Żelazkowa, podchodził pod park i patrzył na pałac, zazwyczaj był bardzo skromnie ubrany, mój ojciec zwrócił mu kilka rzeczy z pałacu.

Ławka generała Felicjana Sławoja-Składkowskiego nie była w najlepszej kondycji. Przybyło na niej kilka rysunków i parę rzeźb. Jedną zwłaszcza świadczyła o zapalczywości jej autora. Głęboko rzeźbione serce i pod spodem spory i głęboki napis: dla Mirki. Ławką opiekował się szeregowy Stanisław Sokółski, przedwojenny podpułkownik, kolega frontowy Feliksa Karśnickiego z kampanii przeciwko Michałowi Tuchaczewskiemu. I trochę mój kolega po piórze. Po wojnie zdegradowany do stopnia szeregowego. Ostatnim poważnym dokonaniem szeregowego Stanisława Sokółskiego była wymiana tylnej nogi w ławce. Zerknałem dyskretnie w tą stronę. Noga miała się dobrze.

Przyjaźń Feliksa Karśnickiego i Felicjana Sławoj-Składkowskiego była jak akwarela, która powoli zatracala swoje barwy. Siedzieli razem w ławach poselskich w Sejmie. Spacerowali nieraz razem po parku w Majkowie. Generał ciepło wyrażał się o przemarszu konnicy Karśnickiego na uroczystościach państwowych w Kaliszu, ale z czasem zaczęli się od siebie oddalać. Generał po wojnie znalazł się na emigracji, Karśnicki w Szczecinie. Podczas pobytu w Londynie udało mi się ustalić, że później korespondencji między sobą nie prowadzili.

Z tego co mówił Grażyny wujek, to biskup Karol Radoński o Felicjanie Sławoj-Składkowskim miał zdanie raczej chłodne. Jednym z powodów było prawdopodobnie to, że generał porzucił wiarę katolicką i przeszedł na kalwinizm.

Stasiu musiał mieć dobry fart w kartach, bo kiwnął na stojącego obok ławki chłopaka, podał mu jakieś banknoty i palcem wskazał w stronę sklepu spożywczego. Chłopak przytaknął głową i puścił się pędem aleją jesionową we wskazanym kierunku.

W paru gazetkach podziemnych, wydawanych w stanie wojennym, ukazały się moje teksty prawnicze, pisane pod pseudonimem. Robiłem wtedy aplikację w Sądzie Wojewódzkim w Poznaniu i wołałem nie posługiwać się własnym nazwiskiem. W tych samych numerach ukazały się artykuły podpisane: „szeregowy S.S.”. Jeden był zatytułowany: „Przedwojenny Podpułkownik”, a drugi „Powojenny Podpułkownik”. Ten drugi tekst kończył się słowami: po wojnie zrobiłem się taki mały i nic nie znaczący, że mimo wysokiego wzrostu pod każdą półką się zmieszczę i to w pozycji na baczność.

I to nawet, gdy półka będzie bardzo nisko zawieszona.

(Dokończenie na stronie 24)

POEZJA

„Coraz bliżej nieba. Almanach Grupy Literackiej Dysonans 2009-2014”. Redakcja i wybór utworów: Kazimierz Burnat. Wydawca: Wojskowe Centrum Edukacji Obywatelskiej, Warszawa 2014, s. 136.

Géza Cséby, „Niedzielný koncert / Vasárnapi koncert”. Przełożyli: Kazimierz Burnat, Aleksander Nawrocki, Konrad Sutarski, Szczepan Woronowicz, Kalina Izabela Ziola. Redakcja: Géza Cséby. Okładka: Livia Szencz. Zdjęcie: Grzegorz Rogiński. Konsultant polski: Agnieszka Rogińska. Nakład autor-ski, Keszthely 2014, s. 100.

„Czarownicy i Czarodzieje. V almanach Klubu Poetyckiego OPAL”. Redakcja: Krystyna Mazur. Zdjęcia: Elżbieta Hyla. Korekta: Elżbieta Hyla i Sylwia Brambor. Wydawca: Samorządowa Agencja Promocji i Kultury, Szczecinek 2014, s. 102.

„Człowiek i droga. X Ogólnopolski Konkurs Poetycki »O Wawrzyn Sądcezyński«”. Redakcja, słowo wstępne: Danuta Sułkowska. Posłowie: Czepelak. Grafika na okładce: Barbara Paluchowa. Korekta: Stanisława Widomska. Wydawca: Starostwo Powiatowe w Nowym Sączu, Nowy Sącz 2014, s. 104 + 16 nlb.

Łucja Dudzińska, „MeMbrana. Cyrkulacje”. Projekt okładki i opracowanie graficzne: Maria Kuczara. Korekta: Marek Czuku. Wydawca: Zaulek Wydawniczy Pomyłka, Szczecin 2014, s. 92.

Stanisław Grabowski, „Późne popołudnie”. Redakcja i korekta: Krystyna Węgrzyn. Okładka i opracowanie graficzne: Barbara Kuropiejska-Przybyszewska. Wydawnictwo PATI, Warszawa 2014, s. 34.

„Jak podanie ręki / Wie ein Händerdruck. Antologia polskiej poezji IV”. Tłumaczyła: Ada Jadwiga Matysiak. Redakcja: Danuta Bartosz. Deutsche Endfassung: Reinhard Grossmann. Współpraca redakcyjna: Paweł Kuszczynski, Ada Jadwiga Matysiak. Seria wydawnicza LIBRA, nr 66, Wydawca: Związek Literatów Polskich, Oddział w Poznaniu, Poznań 2014, s. 130.

„Jedenasty wierszopad. XI Międzynarodowy Festiwal Poezji w Polanicy Zdroju – Poeci bez granic”. Redakcja i wybór utworów: Kazimierz Burnat. Wstęp: Andrzej Bartyński. Projekt okładki: Ewa Moskała, Kazimierz Burnat. Wydawnictwo EURO-SYSTEM, Wrocław-Polanica Zdrój 2014, s. 136.

Věra Kopecká, „Padající liště. Wiatr w studni / Vít ve studni”. Przekład z języka polskiego: Antoni Matuszkiewicz. Wydawnictwo Maria, Nowa Ruda 2014, s. 66.

„Malowane słowem. XIX Ogólnopolski Konkurs Poetycki im. Mieczysława Cychowskiego”. Redakcja: Krystyna Mazur i Agnieszka Kopaczynska-Moskaluk. Zdjęcia: Dorota Mazur. Wydawca: Samorządowa Agencja Promocji i Kultury, Szczecinek 2014, s. 60.

Agnieszka Marek, „Wypuść mnie, wypuść”. Redakcja i wstęp: Dorota Koman. Projekt graficzny: Jakub Lesiński. Wydawca: Dom Kultury w Radomsku, Radomsko 2013, s. 64.

Zofia Mińska, „Tam i z powrotem. Wiersze zebra-

ne”. Kolegium redakcyjne: Mieczysław Kowalcze, Zofia Mińska. Wstęp: Antoni Matuszkiewicz. Wydawnictwo Maria, Kłodzko 2014, s. 254.

Elżbieta Musiał, „3 poematy”. Redakcja: Stanisław Nyczaj. Wstęp: Marek Wawrzkiwicz. Projekt okładki i grafiki komputerowe: Elżbieta Musiał. Projekt typograficzny: Martyna Musiał. Oficyna Wydawnicza STON2, Kielce 2014, s. 146.

Elżbieta Musiał, „Ja, o jednym imieniu”. Redakcja: Stanisław Nyczaj. Fotoraport, projekt okładki i grafiki komputerowe: Elżbieta Musiał. Projekt typograficzny: Renata Mazurczak. Oficyna Wydawnicza STON2, Kielce 2014, s. 58.

„Na skrzydłach reklam. Almanach poetycki trzeci z Polanicy Zdroju”. Redakcja i opracowanie: Kazimierz Burnat. Wstęp: Andrzej Bartyński. Grafiki: Beata Bemnik. Współpraca: Związek Literatów Polskich, Oddział Dolnośląski we Wrocławiu. Wydawca: Teatr Zdrojowy – Centrum Kultury i Promocji, Polanica Zdrój 2014, s. 80.

Wojciech Ossoliński, „Žyzyň żywioł / Žirny živel”. Tłumaczenie: František Všeticka. Redakcja: František Všeticka. Okładka – grafika: Aleksandra Żurawska. Wydawca: Starostwo Powiatowe w Prudniku, Prudnik 2014, s. 80.

Teresa Nietysza, „Mimo ulotności”. Ilustracje: Elżbieta Wodała. Wydawnictwo Miniatura, Kraków 2014, s. 128.

„On też jest tylko jeden. Antologia wierszy o ojcu”. Wybór, wstęp i opracowanie: Jerzy Fryckowski. Na okładce: *Ojciec*. fot. Zdzisława Wera. Na wyklejkach: z przodu – Dębica Kaszubska, obecna ulica Zjednoczenia, fotografia z 1925 roku. Z tyłu – Dębica Kaszubska, kościół pw. św. Jana Chrzciciela – fot. współczesna. Wydawnictwo TAWA Tau-rogiński Waldemar, Chełm 2014, s. 208.

Cezary Różycki, „Wiersze na wybiegu”. Redakcja i korekta: Jolanta Rutecka. Foto: Dorota Filipczak Quick Film, E. Lidwig John Hinde Studio. Wydawnictwo Marow – Jan B. Nycek, Płock 2013, s. 64.

Alicja Tanew, „Szkie o wietrze”. Redakcja: Alicja Tanew. Przygotowanie do druku: Ewa Koziół. Na okładce i wewnątrz tomiku: obrazy Anny Żebrackiej-Prus. Wydawca: Scena ATA, Kraków 2014, s. 88.

Irena Tetlak, „Wnętrza”. Redakcja i posłowie: Andrzej Dębowski. Projekt okładki i zdjęcie na I stronie: Irena Tetlak. Zdjęcie na IV stronie okładki: Alina Wierzbowska. Wydawnictwo Autorskie Andrzej Dębowski, Żelów 2014, s. 76.

Andrzej Walter, „Niepokój horyzontu. Wiersze wybrane 2002-2014”. Redaktor prowadzący: Radosław Urbański. Projekt okładki: Andrzej Walter. Wydawnictwo Adam Marszałek, Toruń 2014, s. 154.

„Wasze życie biegło do mnie. XXXVII Międzynarodowy Listopad Poetycki”. Redaktor i zdjęcia: Zdzisława Jaskulska-Kaczmarek. Projekt okładki: Zdzisława Jaskulska-Kaczmarek i Maria Magdalena Pogaj. Współpraca redakcyjna: Danuta Bartosz, Paweł Kuszczynski, Maria Magdalena Pogaj. Seria wydawnicza LIBRA, nr 67, Wydawca: Związek Literatów Polskich, Oddział w Poznaniu, Poznań 2014, s. 138.

Agnieszka Wolny-Hamkało, „Występy gościnne”. Projekt graficzny: Kama Sokolnicka. Wydawnictwo Igloo, Wrocław 2014, s. 48.

Andrzej Wołosewicz, „Každy Twój krok prowadzi nad Styks”. Fotografia na okładce i wewnątrz książki: Alexandra Hinz-Władyka / NordArt. Opracowanie graficzne: Konrad Kowalczyk. Wydawca: Zaulek Wydawniczy Pomyłka, Szczecin 2014, s. 58.

PROZA

Stephen King, „Przebudzenie”. Przełożył Tomasz Wilusz. Wydawnictwo Prószyński i S-ka, Warszawa 2014, s. 348.

Patrick Modiano, „Perelka”. Przełożyła Bożena Sęk. Wydawnictwo Sonia Draga, Katowice 2014, s. 176.

Magdalena Tarasiuk, „I nie mów do mnie Dżordżyk”. Redakcja i korekta: Anna Roman. Posłowie: Leszek Żuliński. Projekt graficzny: Stanisław Salij. Wydawca: Fundacja Terytoria Książki, Gdańsk 2014, s. 180.

NAUKA, KULTURA, SZTUKA

Frédéric Beigbeder, „Pierwszy bilans po apokaliptyce”. Tłumaczyła Magdalena Kamińska-Maurugeon. Wydawnictwo Noir sur Blanc, Warszawa 2014, s. 400.

Włodzimierz Kalicki, „Zdarzyło się”. Wydawnictwo Znak Horyzont, Kraków 2014, s. 1178.

Javier Marias, „Czarne plecy czasu”. Przełożył Tomasz Pindel. Wydawnictwo Sonia Draga, Katowice 2014, s. 376.

Piotr Kiszka, „Rodzik i przyjaciele”. Redakcja: Piotr Kiszka. W tomie wykorzystano rysunki Ewy Hoppe-Nowickiej i zdjęcia Andrzeja Waltera. Kraków 2014, s. 128.

Henryk Samsonowicz, „Szkie o mieście średniowiecznym”. Wydawnictwo Drugie, Warszawa 2014, s. 248.

INNE

„Zamieszanie na polanie. XIX Ogólnopolski Konkurs Poetycki im. Mieczysława Cychowskiego”. Redakcja: Krystyna Mazur i Agnieszka Kopaczynska-Moskaluk. Zdjęcia: Dorota Mazur. Wydawca: Samorządowa Agencja Promocji i Kultury, Szczecinek 2014, s. 32.



Ławka biskupa

(dokończenie ze strony 22)

Przy ławce, na której lubił odmawiać brewiarz biskup Karol Radoński, musiało nastąpić kolejne nieporozumienie, bo poleciały przekleństwa i dwóch z graczy podskoczyło do Stasia. Zaczęli wymachiwać pięściami obok jego twarzy. Jednym z nich musiał być mąż kobiety sugerującej powrót współmałżonkowi w rodzinne pielesze, bo ona też natarła na Stasia. Posługiwała się przy tym dosyć przekonującą argumentacją:

– I tobie ktoś w końcu twarz obje jak to Wiciu zrobił! Doczekasz się, że znowu będziesz leżał pod drzewem i wył jak pies, zobaczysz, dostaniesz po ryju, to będziesz leżał i dawał wokalizę, że cię do Opery wezmą!

Stasiu sięgnął do tylnej kieszeni. Odliczył jakieś banknoty i położył na ławce. Ci co dawali wymowną gestykulację pięściami podzielili się pieniędzmi i gra potoczyła się dalej.

Poprzez ciężkie, ołowiane chmury przebiegało się co chwilę intensywne słońce. Wrony i kruki wtedy jakby ożywiały się. Nasilało się ich krakanie, zaczynały przefruwać z gałęzi na gałęzi i z drzewa na drzewo. Niektóre sfruwały w dół i zaczynały grzebać w zmarzniętej ziemi. Usiedliśmy na ławce obok czterech modrzewi, zasadzonych podobno w czterdzieste urodziny Jadwigi Radońskiej. Grażyna odgarnęła włosy z czoła, przymknęła oczy i wystawiła twarz w stronę słońca.

Zaskrzypiały drzwi od dużego salonu i na pałacowy taras wyszedł jakiś staruszek. Zgiął się w pół i oddał serię głośnego kaszlu. Po chwili pochylił się jeszcze niżej i poprawił następnym atakiem kaszlu. Ten wysłany do sklepu wrócił z butelką wina. Stasiu wprawnie wybił korek i butelka zaczęła krążyć z ręki do ręki. Staruszek wyprostował się i zaczął powoli schodzić ze stopni tarasu. Szurał głośno butami.

Staruszek podszedł, czy raczej podszurał, do naszej ławki. Zaczął patrzeć na nas.

– Stasiu to grać w karty nigdy nie przestanie, ja pamiętam jego dziadka, to też miał zawsze po kilka talii kart w kieszeniach, niektórzy mówili, że jak przegrywał to wtedy wymieniał karty i wtedy wygrywał, chodzący plotki, że te drugie to miał trochę znaczone a inni mówili, że on miał tylko szczęście do kart.

Staruszek miał na sobie ubranie bardzo skromne. Mocno obwisły sweter z postrzępionymi u dołu rękawami, spodnie z jakimiś świecącymi plamami na kolanach, koszulę z pogniecionym i przetartym kołnierzykiem i bardzo stare buty bez sznurowadeł.

– Ja to pamiętam... na Europę padła zaraza, niektórzy mówili na nią febra hiszpańska a inni

hiszpanka, na folwarku umierali ludzie, drzwi do pałacu były cały czas zamknięte a w mieście grzebano ludzi w mogiłach zbiorowych, jednak i tak trupy leżały na ulicach... ludzie chodzili z namoczonymi chustkami przy ustach... tak, pamiętam, mój dziadek grał w karty, w skata grali i dziadek Stasia zaczął bardzo szybko tasować, potem powiedział, zimno mi się robi, grajmy szybciej bo muszę się odegrać, ci co stali obok poszli do domów a on jak odegrał ostatniego rubla to zaczął iść w stronę folwarku, ale nie doszedł tylko zmarł po drodze... nikt go nie chciał chować, bo mówili, że odegrał się w znaczone karty, to on leżał kilka tygodni tam między brzoza a zwłoki się rozkładały.

Pokazał ręką w stronę kilku starych brzoź. Kiedyś droga od folwarków aż do rzeki, była wysadzona, po obu stronach, brzozami. Tą drogą spacerował nieraz biskup Karol Radoński. Szedł nad rzekę, potem obok stawów w stronę starego cmentarza, na którym pochowani byli żołnierze Napoleona i ścieżką przez łąkę podchodził pod bramę wjazdową do pałacu.

Ten co z zakrwawionymi ustami poszedł w stronę dawnych folwarków, szedł teraz z powrotem. I nie szedł sam. Miał ze sobą osobę towarzyszącą. Był to chyba jego starszy brat, bo byli do siebie podobni.

– Stasiu to na dwóch trochę za słaby, dali mu po mordzie kilka dni temu, bo nie chciał oddać pieniędzy, to później leżał pod dębem i dawał wokalizę aż do późna w nocy.

Staruszek miał dobre rozeznanie w sprawie. Ten starszy brat złapał Stasia za włosy i zaczął gnieść ku ziemi a ten młodszy takimi ciosami od dołu starał się trafić go w twarz. Stasiu beczynny też nie był, tylko dosyć dobrze posługiwał się pięściami i nie najgorzej kopniakami. W końcu Stasiu uwolnił się z objęć tego starszego i odskokczył trochę do tyłu. Stanął naprzeciw tych dwóch i dyszał mocno. Wszyscy trzej patrzyli po sobie w milczeniu. Po chwili Stasiu sięgnął do kieszeni, podał temu starszemu parę banknotów i ci dwaj odwrócili się. Poszeptali coś między sobą i zaczęli iść w stronę zabudowań folwarcznych. Przechodząc obok nas splunęli, gęstą śliną wymieszaną z krwią, ukłonili się i powiedzieli:

– Dobry wieczór!

– Dzień dobry!

Grażyna i ja odpowiedzieliśmy im równie grzecznie.

Okno w pomieszczeniu dawnej biblioteki otworzyło się i na zewnątrz zaczęły wydobywać się kłęby pary. Prawdopodobnie ktoś gotował tam obiad. Czuć było zapachy jakichś potraw, chyba zupy pomidorowej i czegoś tam jeszcze innego. Staruszek przygiął się mocno, oddał serię suchego kaszlu, poprawił drugą i splunął poza siebie.

– Jak się wojna skończyła to Europa cieszy-

ła się i tańczyła, dziedzic nie tańczył, bo wiedział co to dla niego znaczy, stał wieczorami na ganku między kolumnami i patrzył to na gazon to na bramę wjazdową... ci z folwarków zabrali dziedzicowi konie, ziemię rozparcelowano, dziedzic jeszcze mieszkał z żoną w pałacu, ale... późnym latem był tu jeszcze biskup Karol Radoński, razem byli na mszy u jezuitów... biskup pożegnał się z nimi na ganku a odchodząc pobłogosławił ich.

Gra na ławce biskupa Karola Radońskiego albo na dzień dzisiejszy dobiegła końca, albo Stasiu postanowił zrobić sobie przerwę. Zresztą szare chmury napływały gdzieś od strony rzeki i zaczęło robić się zimno. Żona i jej małżonek-amator gry, na skos poprzez trawnik, zaczęli iść w stronę dawnych zabudowań folwarcznych. Ona była chyba niezadowolona z wyników gry męża, bo nie szczędziła mu słów krytyki:

– Możesz sobie wyć jak pies cały wieczór, możesz dawać wokalizę cały dzień a mnie to nie wzruszy, ja to nie Opera, mnie to nie obchodzi... jak bym inaczej za mąż wyszła, to bym miała inne życie a mam tylko użeranie się całe dnie i życie na koszt rodziców...

Głos jej zaniknął po drugiej stronie stawu, nad którym spacerował często biskup Karol Radoński, nieraz generał Felicjan Sławoj-Składkowski, a od czasu do czasu miejscowi jezuiti, jak ksiądz Henryk Lubomirski czy Stefan Dzierżek, późniejszy rektor Zakonu Jezuitów w Kaliszu.

– Niech mi pani da parę papierosów.

Staruszek przysunął swoją starczą, pomarszczoną twarz w stronę Grażyny. Ona szybko sięgnęła do torebki i podała mu kilka sztuk. Staruszek zanurkował ręką w kieszeni swoich starych, zniszczonych spodni i wyciągnął dużą, srebrną cygarnicę. W rogach miała ozdoby, złote lub pozłacane elementy roślinne, a na środku gruby, złoty herb Jasińczyk, którym sygnowała się rodzina Radońskich. Staruszek schował papierosy do cygarnicy i zaczął powoli odchodzić w stronę dworu.

Stasiu miał opinię taką jaką miał, ale i potrafił też zachowywać się grzecznie. Przechodząc obok nas splunął gęstą śliną wymieszaną z krwią, ukłonił się i głośno powiedział:

– Dobry wieczór!

Odpowiedzieliśmy mu i też pochyliliśmy głowy w ukłonach.

Za brzoza w dalekim horyzoncie pokażało się na chwilę zachodzące słońce. Grażyna przymknęła trochę oczy. Potem wstała i spojrziała na mnie. Też podniosłem się z ławki i zaczęliśmy iść w stronę gazonu, przed którym stała kiedyś duża brama wjazdowa. Alejka była wysypana grubym żwirem i słychać było zgrzyt kamyków pod podeszwami.

Jerzy Marciniak

Gazeta Kulturalna Poezja Proza Krytyka Historia Sztuka Muzyka – miesięcznik

Wydawca i redakcja: DOM KULTURY 97-425 ŻELÓW, ul. Kościuszki 74, tel. (044) 6341098; 504630543

e-mail: andrzejdebkowski@wp.pl www.gazetakulturalna.zelow.pl

Redaktor prowadzący — Andrzej Dębowski.

Współpraca: Józef Baran, Emil Biela, Tadeusz Czemiawski, Małgorzata Dębowska, prof. Igancy S. Fiut, Andrzej Gnarowski, Kazimierz Iwosse, Stefan Jurkowski, Rafał Orlewski, Janusz Orlikowski, prof. Maria Szyszkowska, Igor Wieczorek, Tadeusz Zawadowski, Leszek Żuliński.

Współpraca techniczna: Małgorzata Kotala, Agnieszka Kowalczyk.

Redakcja nie zwraca niezamówionych materiałów. Zastrzega sobie prawo do skracania artykułów oraz zmian tytułów nadsyłanych tekstów bez uprzedniego powiadomienia autora. Skład: Andrzej Dębowski. Druk: „TAGRAF”, 98-113 Buczek, Bachorzyn 13, tel. (043) 677-41-56.